

AZZERO

BIULETYN INFORMACYJNO-PROPAGANDOWY KW WARSZAWA



ISSN 1641-9359



www.kw.warszawa.pl

1(14)/2008
bezpłatny

Książka wyjść

Słowo Prezesa	2
Orzeł KW	3
Sprawozdanie z 10-letniej kadencji	4
Wywiad z Andrzejem Sobolewskim	6
Pytania z Kaukazu	16
Lato pełne śniegu, czyli wyprawy Alpinus K2 i Alpinus Nanga Parbat.	20
Denali, Diamir i Dhaulagiri 2007	24
Przeprosiny z Leninem	28
Expedition Arwa Tower 2007	32
„Ale tam chyba nie ma szlaku...?”	38
Garść refleksji o sezonie letnim 2007	46
A Zero TOPO	50
Oni	62
Pożegnania	64
Od północno-wschodniej strony	68
Po-słowie po-prezesa	71
Info klubowe	72



A/Zero – Biuletyn Informacyjno-Propagandowy K.W. Warszawa

Nr 1 (14)/2008

ISSN: 1641-9359

Wydawca: Klub Wysokogórski Warszawa

Redakcja: Artur Paszczu Paszczak (paszczak@qdn.net.pl), Mariusz Wilan Wilanowski (marysia029@o2.pl), Klara Żerdzicka (studio@klarska.pl)

Korekta: Joanna Cybulska

Do powstania numeru przyczynili się: Kinga Baranowska, Grzegorz Głazek, Jan Gondowicz, Paweł Karczmarczyk, Marcin Miotk, Piotr Morawski, Stephan Siegrist, Zbyszek Skierki, Andrzej Sobolewski, Łukasz Superman, Adam Śmiałkowski.

W A/Zero piszemy o sportach nie zawsze bezpiecznych dla Waszego zdrowia i życia. Zespół redakcyjny nie ponosi żadnej odpowiedzialności za jakiegokolwiek wypadek powstałe podczas uprawiania przez czytelników sportów propagowanych na łamach A/Zero. Pamiętajcie, robicie to na własne ryzyko.

Redakcja A/Zero nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam i tekstów zamieszczonych na łamach biuletynu. Kopiowanie materiałów w całości lub części tylko za zgodą redakcji A/Zero.

Okladka I str.: Paweł Karczmarczyk na północnej ścianie szczytu Ural Wschodni 4300 m. Fot. arch. Paweł Karczmarczyk.

Okladka IV str.: Arch. Kingi Baranowskiej. Pow. obozu II na Dhaulagiri.

S ł o w o P r e z e s a

Różnica między górą a pagórkiem

Ostatni mój wyjazd do Pamiru, oprócz jak zwykle czystej przyjemności obcowania z górami, dał mi czas na przemyślenie moich obserwacji co do zachowań ludzkich w górach. Najbardziej zaciekawili mnie kwestie tzw. „psychy”, czyli - jaki jest udział „psychy” w naszej działalności górskiej? Co decyduje o tym, jaką mamy „psyche”? Zgodnie z moimi spostrzeżeniami duży wpływ na „psyche” ma grupa, jej dynamika i nasze postępy względem grupy. Bardzo często pod wpływem innych zmieniamy swoje pierwotne cele, często podwyższając sobie poprzeczkę i stawiając nowe wyzwania. Chociaż takie motywujące działania pozwalają przezwyciężać nasze ograniczenia, często mogą mieć negatywny wpływ na nasze bezpieczeństwo. Należy oczywiście podnosić sobie poprzeczkę, „łoić” szóstki i siódemki, zakładać kolejne obozy – bez tego nie byłoby postępu we wspinaniu. Działajmy jednak w zgodzie z własnymi siłami, ambicjami i bezpieczeństwem. To co dla jednych jest pagórkem, dla innych może być wysokim szczytem. Droga do wysokich szczytów zawsze prowadzi przez pagórki. To, na jakim jesteśmy etapie, zależy od naszej subiektywnej perspektywy. Życzę nam wszystkim, abyśmy dla naszego bezpieczeństwa zawsze umieli dostrzec tę subtelną różnicę.



Przedemną także stoją nowe wyzwania. Chciałbym wszystkim, którzy obdarzyli mnie zaufaniem podziękować i uspokoić: klubu nie czekają żadne rewolucyjne zmiany. Chcę, aby Nasz klub był po prostu coraz lepszy w tym co robimy, a miarą tego jak to robimy niech będzie dalszy wzrost liczby naszych członków. Mam nadzieję, że będzie ich 1000+ na koniec mojej kadencji, czego życzę Wam i sobie. „Duży może więcej”, to nie tylko hasło reklamowe, tylko rzeczywistość, w której działamy. Już nie martwimy się tym, czy starczy nam na księgową i czynsz, tylko myślimy, jak dalej rozwijać klub, aby każdy z Nas czuł się w nim coraz lepiej. Zarząd klubu podjął przymiarek do zakupu naszego kawałka ziemi w Podlesicach. Co prawda to jeszcze nic przesądzonego, ale kto wie? Powołany zostanie Fundusz Sportowy, w ramach którego będą przyznawane (na wniosek zainteresowanych) dofinansowania, głównie post-factum. Takich działań będzie więcej.

Łubu-dubu, łubu-dubu, niech nam żyje ...

... odchodzący prezes naszego klubu. W imieniu swoim i zarządu chciałbym gorąco podziękować Arturowi vel Paszczu za ostatnie 10 lat prezesury. W tym czasie Nasz klub rozwinął skrzydła, mamy swoją siedzibę, wydajemy A/O, organizujemy obozy i co najważniejsze - do Naszego klubu dołączyło kilkaset nowych osób. To najlepszy dowód, że wspinamy się w dobrym kierunku! Artur oczywiście nie zniknął z pola widzenia i dalej liczymy na jego wielkie zaangażowanie i koleżeńską pomoc.

Marcin

PS. Rezerwujcie czas na obóz letni w Bondo (Bergell, Szwajcaria) w terminie 26 lipca – 10 sierpnia

„Orzeł K.W.” Nagroda Klubu Wysokogórskiego Warszawa za rok 2007.

Podczas Walnego zebrania ogłoszono zdobywców naszej klubowej, prestiżowej nagrody ORZEŁ KW za rok 2007. Należy podkreślić, że nasi klubowicze osiągnęli wiele sukcesów w 2007 roku, więc wybór nie był prosty. Nominowali byli:

W kategorii „przejścia w górach”

- Kinga Baranowska za zdobycie Nangi Parbat i niemal udaną próbę na Dhaulagiri.
- Grzesiek Sokołowski za przejście Filara Freney Mt Blanc.
- Dawid Kaszlikowski za drogi w Meksyku i nową drogę na klifie Thumbnail na Grenlandii.
- Piotrek Morawski za zdobycie Nangi Parbat i próbę na K2.
- Jurek Natkański za wejście na Broad Peak.
- Paweł Karczmarczyk za kolejny wspaniały sezon w Kaukazie, w tym za pokonanie lewego filara południowej ściany Dych Tau.

W kategorii „przejścia skałkowe”

- Kuba Ziółkowski – za udane występy w Pucharze Polski.
- Tadeusz Kieniewicz – za przejścia RP.

Nagrodę dostali:

GÓRY: Kinga Baranowska za zdobycie Nangi Parbat i niemal udaną próbę na Dhaulagiri.

SKAŁY: wyróżnienie dla Kuby Ziółkowskiego za występy w pucharze bulderingowym i mistrzostwach Polski.



Gratulujemy!

I. Konkurs na górskie short-story

1. tematyka i forma dowolna, o ile wiąże się z górami.
2. długość maksymalna 4000 znaków (ze spacjami)
3. sposób nadsyłania – opowiadania podpisane pseudonimem prosimy nadsyłać pod adresem paszczak@qdn.net.pl lub pocztą pod adresem klubu.
4. rozstrzygnięcie konkursu nastąpi latem tego roku (najdalej do 31.09), najlepsze opowiadania zostaną opublikowane w A/Zero. Główną nagrodę, bon o wartości 500zł do realizacji we własnej sieci sklepów ufunduje firma “Cerro Torre Sport Jacek Fluder” <http://www.cerrotorre.pl/main.php>
5. Oceniać będzie Jury w składzie Joanna Cybulska, Mariusz Wilanowski, Artur Paszczak.

II. W związku z planem zagospodarowania siedziby klubu ogłaszamy konkurs fotograficzny.

1. W konkursie mogą brać udział członkowie Klubu Wysokogórskiego Warszawa.
2. Grupy tematyczne: Panel, Skałki, Tatry, Alpy, Himalaje, Skitury, Historia Klubu
3. Zdjęcia powinny być przygotowane w rozdzielczości minimum 2165x1782 pikseli, zalecana 3072 x 2304 pikseli.
4. Niezależne Jury dokona wyboru najlepszych zdjęć i wskaże zwycięzców w każdej kategorii. Zwycięskie prace będą zdobić Salę Slajdową Klubu.
5. Zdjęcia prosimy wysyłać na adres bartpl@gmail.com z dopisaną nazwą grupy tematycznej oraz podpisane imieniem i nazwiskiem.
6. Ostateczny termin wysyłania prac upływa 30 czerwca br.

Zarząd K.W. Warszawa

Jak namalowaliśmy konika

Wstępniak pożegnalny.

18 grudnia 1998 r. (34 głosami) wybrano mnie prezesem KWW. Na tym samym zebraniu w ogóle przyjęto mnie ponownie do klubu, bo zalegałem ze składkami za 6 lat... Przetłumaczyłem jednak „amnestię składową” (na co tak wściekł się „Baron” Skłodowski, że omal mnie nie wyrzucił z sali) i zostałem tym samym przywrócony „w prawach”. Potem Krosiek zgłosił moją kandydaturę do „fotela” i zanim się dobrze zastanowiłem - już byłem wybrany. Pamiętam tylko, że zrezygnowany „Baron” machnął ręką i mieląc w ustach jakieś postponenty wyszedł, a „Pomurnik” Zdzitowiecki, w geście nieskrywanej rozpacz, ukrył głowę w dłoniach. Przed wyjściem z sali podszedł jednak do mnie i powiedział:

- Życzę ci powodzenia.

Skład wybranego wówczas zarządu to: Joanna Onoszko, Alicja Paszczak, Tomek Przybylski, Marek Minarczuk, Rafał Szombara, Konrad (Arnold) Cwik, Marcin Chmieliński i Marek Libront. Wszyscy ciemni jak tabaka w rogu, i nawet niezbyt pełni entuzjazmu. Raczej nie wiedzieli, w co się pakują. Ja zresztą też. Wiedzieliśmy, że chcemy postawić nasz klub na nogi. Nie, żeby stał na głowie - chodziło o to, aby powrócić do dawnej świetności. Wszyscy też czuliśmy, że ma to być organizacja, w której każdy będzie wiedział, że jego głos coś znaczy i się liczy. Chcieliśmy, aby wszystko odbywało się uczciwie i po koleżeńsku.

No bo sprawa była przecież prosta – los złożył w nasze ręce ten klub i pozwolił uformować go niemal wedle własnej woli. A do jakiego klubu sami chcieliśmy należeć? Jasne chyba, że do takiego, gdzie ludzie się szanują, lubią i gdzie każdy ma świadomość, że kole-dzy we władzach godni są pokładanego w nich zaufania i robią to, co należy, oraz że otwarci są na to, co się do nich mówi.

Słowem – do fajnego klubu.

A żeby to osiągnąć, nie trzeba było wymyślać koła, wystarczyło zastosować najprostsze, sprawdzone rozwiązania. Opowiadał mi znajomy, jak to na egzaminie na ASP jakiś młody adept sztuk malarskich przedstawił swoją tęczkę, pełną kolorowych bohomazów. Siwowłosa pani profesor przejrzała to wszystko spokojnie, poczym z dobrotliwym uśmiechem zapytała:

- Synku, a konika to ty potrafisz namalować?

I myśmy po prostu namalowali tego konika. Intuicyjnie wybraliśmy rzeczy oczywiste: jawność, demokratyczne procedury i słuchanie głosu innych. Nie narzucaliśmy



własnego zdania. Staraliśmy się pamiętać, że jesteśmy wykonawcami woli naszych kolegów, a nie realizatorami wyłącznie swoich przekonań. Postawiliśmy na egalitaryzm i otwartość. Wyszliśmy z założenia, że wypracowane fundusze mają służyć wszystkim, a nie klubowej elicie, a członkostwo w klubie nie jest jakimś ekskluzywnym przywilejem. Powoli wszystkie te elementy zaczęły układać się harmonijną całość, a klub nasz zaczął odzyskiwać dawny blask. Coraz szybciej przybywało członków i członkiń. To z kolei dawało nam chęć do dalszej pracy. Wybaczcie szerszą dygresję, ale stowarzyszenie to taka demokracja w piguлке, taki demokratyczny atom. Członkowie stowarzyszenia zdają w rzeczy samej test z obywatelskiego przygotowania – jeśli potrafia poprowadzić swoją organizację i nie popaść w rozliczne pułapki mikro-władzy, to zapewne będą potrafili też uczestniczyć w życiu obywatelskiego społeczeństwa. Nader często jednak mechanizmy demokracji zawodzą już na tym najniższym poziomie – jakże więc wymagać potem od polityków, aby rzetelnie zarządzili krajem, jeśli my sami nie umielibyśmy rządzić się we własnym stowarzyszeniu? Z czasem, wydaje mi się, odkryliśmy gdzie czają się pułapki. Największą określiam jako „zawłaszczanie społecznej funkcji”. To sytuacja, w której utożsamia się własne przekonania z zadaniami sprawowanego stanowiska. „Będę tak robił, bo tak uważam”, gdy przecież powinno być: „będę tak robił, bo tego oczekują ode mnie ci, którzy mnie wybrali”. „Wybrali mnie po to, żebym decydował”, podczas gdy przecież „wybrali mnie, abym słuchał”. Na końcu tej drogi „zawłaszczający” niczego już nie widzi, nikogo nie słucha. Swoje osobiste przekonania utożsamia z dobrem ogólnym. Pozostaje tylko „moje stanowisko to ja” (w bardziej popularnej wersji „mój albo ch...!”)

Jest też inna pułapka, nawet gorsza. To sytuacja, gdy środek staje się celem. Ktoś mi powiedział – „nie gadaj, lubisz tę robotę”. Pomyślałem: może i tak, skoro ją wykonuję, to pewnie lubię? Ale zaraz zachnąłem się – a co tu lubić?!

Przecież nie robotę lubię, tylko jej efekt w postaci udanego obozu, gotowego A/Zero, czy fajnej imprezy. Bo one pomagają mnie i innym w realizacji tego, czemu to wszystko służy: wspinania! Proste jak drut!

Dopóki nasze działania służą wspinaniu, a my sami chcemy to wspinanie uprawiać – nic nam nie grozi. Nie zachodzi sytuacja, w której biurko i dwa telefony staną się celem samym w sobie. Nie zachłyśnięmy się tą żalostną namiastką władzy, jaką daje stanowisko społeczne, bo nie o to nam chodzi!

Ale bywa przecież, że „stołek”, choćby koślawy, staje się ucieleśnieniem ambicji i pragnień niezrealizowanych

gdzie indziej, a potrzeba uznania ucieleśnienia się w nadętym sprawowaniu Ważnej Funkcji. Ach, jak ważna robi się ta Funkcja, jak bez niej świat stanąłby w miejscu, jaka ona jest niezbędna, aby „bieguny osi skrzypiały wiekopomnie”!

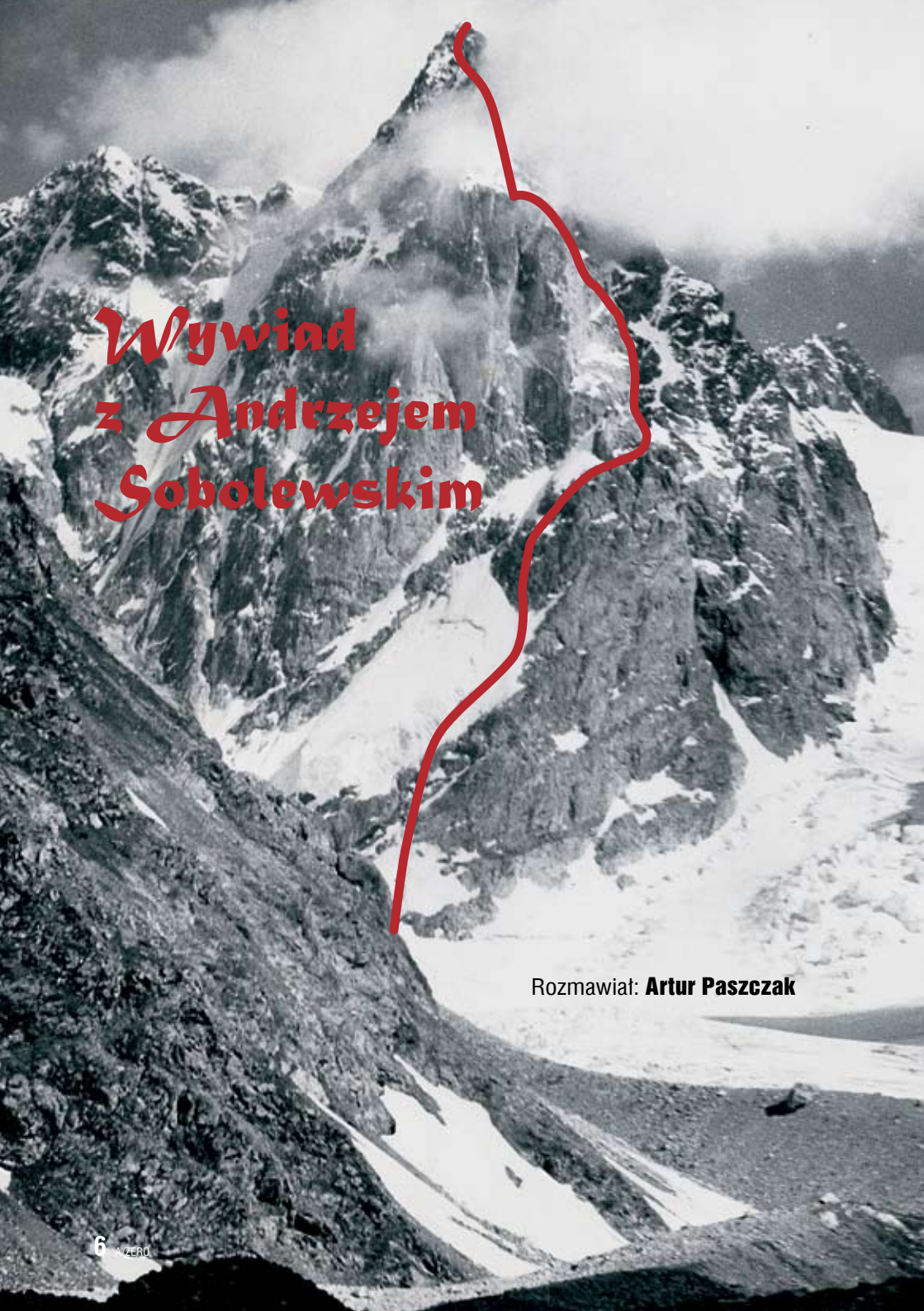
To jest dopiero sytuacja zła i groźna! Zapobiec jej można tylko poprzez wybór odpowiednich ludzi. Na szczęście w naszym środowisku mamy jeden absolutnie pewny sposób – wybierać tych, którzy lubią się wspiąć. Łatwo ich poznać, bo wołają góry od gabinetów, schemat drogi od schematu organizacyjnego a praktykę od teorii.

I takim właśnie facetem jest Marcin Miotk – nasz nowy Prezes. Bardzo się cieszę, że to jego wybraliśmy na kolejną kadencję, bo oprócz oczywistych zalet menedżerskich, jest to przede wszystkim jeden z nas – to po prostu wspinacz. Nie będzie tworzył wielkich teorii na temat swej ważnej roli, tylko będzie robił to, co należy.

Marcin, możesz iść!

Z taternickim pozdrowieniem,
Paszcz





Wywiad z Andrzejem Sobolewskim

Rozmawiał: **Artur Paszczak**

Po raz pierwszy w historii alpinizmu polskiego zapisałeś się przejściem głównej grani Tatr. Czy to było wielkie przedsięwzięcie?

Tak, to było wielkie przedsięwzięcie zimowe i zarazem nasza wielka idee fixe, moja i Bartka Olecha. Kilka lat wcześniej dokonano pierwszego przejścia letniego, no i stwierdziliśmy, że powtarzanie letniego przejścia można wprawdzie potraktować treningowo, ale naprawdę fajnie będzie dopiero, gdy przejdziemy to w zimie.

Brałeś udział w przejściu letnim?

Nie, nie brałem. Dwa lata przed tym zimowym przejściem, w 1957 roku, dopiero zaczęliśmy swoją zimową działalność w Tatrach. Zrobiliśmy pierwsze przejście zimowe grani od Rysów do Liliowego. To był taki nasz trening. Zresztą załamała się pogoda, pod Żabim Koniem biwakowaliśmy jakieś cztery dni, później wszystko przebiegliśmy już błyskawicznie. Rok później uczestniczyłem w pierwszej próbie przejścia całoci. Po drodze spotkaliśmy się z zakopiańską wyprawą toprowców, przez cały czas była niepogoda. Doszliśmy do Batyżowieckiej i w Batyżowieckiej zeszła lawina - jeden toprowców zginął. Nie wykopaliśmy go. Pod lawiną był też Michał Gajewski i Rysiek Wawro. Michała wykopaliliśmy, bo go było widać, a tamtego dopiero po kilku godzinach. I wreszcie rok później, w 1959, zrobiliśmy to nasze przejście, już udane. Zresztą włączył się do tego, też zafascynowany ideą, Andrzej Zawada – podejrzewam, że w tym czasie powstawała w ogóle idea zimowego chodzenia po górach, jakichś takich poważnych przejść. No i tyle o historii tatrzańskiej. Co do reszty, to po prostu normalnie się wspinalem.

A jak to się stało, że pojechałeś pierwszy raz w Kaukaz? W tamtym okresie, żeby się załapać na taki wyjazd, trzeba było należeć do czegoś w rodzaju kadry?

To było już po przejściu zimowym grani Tatr i po wielu wspinaczkach letnich. Spędzałem wtedy w Tatrach po kilka miesięcy w roku, w latach 1957 - 1959.

Po kilka miesięcy, tak?

Po kilka miesięcy. No i w związku z tym byłem w kadrze. W 1960 roku byłem w zespole szykującym się do wyjazdu, który nota bene nie doszedł do skutku, do pierwszego wyjazdu w Dolomity. Miała to być nasza wyprawa klubowa.

To było jeszcze w ramach Klubu Wysokogórskiego?

Tak, oczywiście, Polski Klub Górski dopiero się tworzył.

Powiedz, czy kiedy jechałeś pierwszy raz w Kaukaz, były to góry wyeksplorowane już w jakiś sposób przez Polaków, czy też był to wyjazd w nieznane?

Teren był znany, pierwsze zetknięcie Polaków z Kaukazem miało miejsce w 1935 roku, od razu w ładnym stylu (trzęcie w ogóle wejście na szczyt).

Wojsznis...

Wojsznis, Ostrowski, Chwaściński - to była wyprawa z roku 1958 roku... Pierwsza wyprawa powojenna była chyba w 1957 r.

Ta, kiedy Długosz robił filar Szchary?

Dokładnie tak. Następna była w 1958 roku, w 1958 i 1959 roku odbyły się dwa wyjazdy Klubu Wysokogórskiego dla kadry – tak to nazwijmy, uczestniczyło w nich około 40 osób.

Niesamowita popularność!

Tak. Wyjazdy odbywały się w kilku terminach i został wtedy zrobiony cały szereg pięknych dróg, a w każdym razie polskich wejść.

Czy to dlatego, że łatwiej było wtedy wyjechać w Kaukaz, niż w Alpy? Czy też chodziło o niższy koszt? Na czym polegała tak duża popularność Kaukazu?

Myslałem o tym. Sądzę, że Kaukaz był w tym czasie egzotyką. Że środowisko było jeszcze pod wrażeniem naszych przedwojennych wypraw - w tamtym czasie ukazywały się bowiem książki Wojsznisa, Chwaścińskiego, Ostrowskiego. Żuławski, jako pierwszy powojenny prezes Klubu Wysokogórskiego, też żył w pewnym sensie historią.

Ale paradoks polegał na tym, że więcej ludzi jeździło w Kaukaz, niż w Alpy.



Andrzej Sobolewski na biwaku w Kaukazie.
Fot.: Szymon Wdowiak.

Tak

No i właśnie się zastanawiam, z czego to wynikało - czy łatwiej było załatwić dokument?

Nie, nie, tak to po prostu zaistniało.

W każdym razie stałeś się członkiem tej grupy bardzo szybko...

A później już jeździłem w Kaukaz - to jest cała historia chodzenia na kawkę i jeżdżenia w Kaukaz z Polskim Klubem Górskim.

Czyli twój pierwszy wyjazd był w 1962-tym?

Mój pierwszy wyjazd odbył się w 1959 roku - w Kaukaz Zachodni.

I jakie były pierwsze wrażenia?

Piękne. Myślę, że dla wszystkich, którzy tam po raz pierwszy pojechali i odczuli ówczesną egzotykę tych gór.

I ich dzieciństwo?

Dokładnie tak. To nie były Alpy - zabudowane, znane, opisane i pełne ludzi.

Przeskoczmy trochę dalej - niedawno znów byłeś w Kaukazie - czy dużo się zmieniło od czasu Twoich pierwszych wypraw?

Różnica jest totalna, ale nie w sensie dzikości gór. Kaukaz w tej chwili jest prawie pusty. W tamtym czasie w Kaukazie wspinano się mnóstwo ludzi. W Związku Radzieckim alpinizm był popularny, więc w bazach alpinistycznych (a było ich w Kaukazie około sześciu) kłębili się ludzie, wspinali się, kwitło życie. A teraz prawie wszystkie bazy są w stanie rozkładu, został jedynie alpagier Bezingi.

Niesamowite. Ten cały ruch chyba przesunął się w Alpy...

Wiele rzeczy się zmieniło. Rosjanie nie jeżdżą, bo nie mają pieniędzy, nie ma zakwaterowania. Z zagranicy też nie jeżdżą, bo dochodzi jeszcze sfera polityczna - kradną, strzelają.

Wróćmy do okresu, w którym zaczynałeś się wspinąć w Kaukazie. Bardzo szybko przebiełeś się do czołówki i zacząłeś robić przejścia absolutnie topowe, jak na tamte czasy: w 1962 r. północna ściana Szeldy.

To prawdopodobnie w ogóle było trzecie wejście na wierzchołek, a na pewno trzecie powtórzenie tej drogi, po 20 latach zresztą - bo pierwsze przejście było robione jeszcze przed wojną.

Co sprawiło, że tak ci "przyżerało" w Kaukazie? Czy przyżerałoby Ci gdziekolwiek indziej?

Nieee... No wiesz - mnie się Kaukaz po prostu bardzo podobał.

Ale powiedz - czy była to kwestia ekipy, która śmiało realizowała pewne rzeczy?

Nie, to jest sprawa bardziej skomplikowana, ponieważ Polski Klub Górski nie posiadał wtedy swojej własnej kadry wspinaczkowej. Był to klub, który dopiero powstawał. Ja się do niego włączyłem razem z Andrzejem Wachalem, który był jednym z założycieli. Byłem z nim również wcześniej na kursie dla początkujących, organizowanym przez Klub Wysokogórski (jednym z wielkich kursów organizowanych w 1954 roku, w którym uczestniczyło 50 osób - werbunek miał miejsce przez prasę). I w tymże PKG założyliśmy sekcję alpinizmu,

która miała w zasadzie założenia turystyki górskiej. Ponieważ byłem już w środowisku Klubu Wysokogórskiego, i byłem dobry – no tak to nazwijmy ogólnie, czyli miałem już swoją pozycję, więc to ja, na wyjazdy PKG w Kaukaz, organizowałem za każdym razem grupy wspinaczy. Po prostu namawiałem ludzi z różnych klubów - i tworzyłem zespół. Jak z PKG jechała grupa, powiedzmy, 15-osobowa, to wśród nich większość stanowili na ogół turyści górscy, którzy chodzili po ścieżkach turystycznych, zaś pozostała czwórka lub szóstka to byli wspinacze.

Czyli z góry dobiebrałeś ludzi pod kątem realizacji drogi?

Dobierałem – nawet nie pod kątem drogi, ale po prostu takich, którzy chcieli się wspinąć i którzy byli dobrzy. W 1964 roku odbyła się taka wyprawa; wyjazd do Bezingi, pierwszy wspólny z Klubem Wysokogórskim. Wtedy szefem tej całej imprezy był – nawet nie wiem - Piotr Młotecki czy może Jurek Michalski. Z Klubu Wysokogórskiego wchodził w jej skład: Jerzy Michalski, Werteresiewicz, Chrobak, Łaukajtis i oni wtedy przeszli drogę na Mizirgi, robili tam pierwsze przejście ściany. Ja natomiast zmobilizowałem grupę pięcioosobową z naszej PKG-owskiej części i wtedy zrobiliśmy nową drogę na Dychtau.

Czy uważasz, że to było twoje najlepsze osiągnięcie w Kaukazie?

To było moje najlepsze osiągnięcie, zresztą wydaje mi się, trochę się chwalcę, że to było w ogóle jedno z ciekawszych osiągnięć.

Bo to 2,5-kilometrowy filar, tak?

Tak. On jest w tej chwili przechodzony, uczęszczany, opisany w przewodniku - akurat ta droga stała się popularna wśród Rosjan.

Na ile go wyceniliście?

Jest w najwyższej skali trudności, czyli 5B.

Robiliście tę drogę cztery dni?

Cztery, a zatem z trzema biwakami.

A powiedz, dla porównania, jak to robili Rosjanie, bo oni w tamtych czasach wspinali się niesamowicie zaciężnie, robili przejścia po tydzień, dwa?

Rewolucję wspinaczkową wprowadziliśmy my, Polacy. W ogóle historia była taka, że na coroczne wyjazdy od 1958 do 1961 roku jeździli wyłącznie Klub Wysokogórski. Klub Górski włączył się dopiero w 1962 roku (wejście na Elbrus- red.). My wszyscy byliśmy nastawieni na wspinaczki lekkie, bo już w tym czasie w Tatrach rozpoczęła się era przejść zimowych. To była nasza grań Tatr, która była stosunkowo prosta, mieliśmy założone składy, zresztą przez nas, w przeddzień wyjścia na grań.

Jednodniowe przejścia zimowe zaczęły się od Mięguszków: Filara, Północnej Ściany. Działał wtedy Leszek Utracki, Jurkowski, Werteresiewicz – ci, którzy wyznaczali nowe odniesienie do wspinania zimowego.

Robiliście trzecie przejście zimowe Łapy na Kaźalnicy. Czy to było z biwakiem?

Bez biwaku, po nocy wyszliśmy.

Aha, czyli to już było nowoczesne przejście. I taki styl przeniesiście w Kaukaz, co musiało być dla Rosjan szokiem.

Pomógł nam w tym nasz sprzęt – w porównaniu z Rosjanami mieliśmy lżejsze raki, lepsze buty, między innymi dlatego większość dróg była robiona na lekko. Było w tym sporo improvisacji. Jako ciekawostkę mogę podać, że jak robiliśmy Szeldę, to zrezygnowaliśmy z namiotu. Byliśmy tam we czwórkę – żeby odciążyć się z namiotu, wzięliśmy tylko płachty biwakowe. Czyli w ogóle nie spaliliśmy, później przy zejściu w szczególności to się dawało we znaki, bo to było dość skomplikowane, jak się pogoda załamywała. Dlatego przejścia Polaków były wielokrotnie, ale to autentycznie wielokrotnie szybsze, niż przejścia Rosjan.

A czy Rosjanie próbowali powtarzać wasze drogi? Od razu? Był tam jakiś duch konkurencji?

W ogóle, do 1961 roku wyjazdy odbywały się na tej zasadzie, że polskie grupy, z polskim kierownikiem, mieszkaly w bazie rosyjskiej i do każdej grupy byli dołączani instruktorzy konsultanci - alpinści rosyjscy. I każdą drogę...

Zatwierdzali?

Nie – zatwierdzanie to jest zupełnie oddzielna historia. Do każdej grupy był dołączany in-

struktor - konsultant, czyli grupa polska była wzmacniana człowiekiem radzieckim. Od 1962 roku pierwsza droga, jaką my, Polacy, robiliśmy bez konsultanta, to była właśnie Szelda. To był precedens. I od tego momentu już wszystkie wyjazdy i wszystkie drogi Polaków odbywały się na zasadzie czysto indywidualnej. A teraz, wracając do Twojego pytania, jak się robiło nową drogę wcześniej – po zrobieniu nowej drogi natychmiast tworzony był zespół rosyjski, który w tym samym sezonie ją przechodził.

Ale jak ją przechodził, zazwyczaj – tak samo, szybciej, wolniej?

Szczerze mówiąc - nie wiem. Nie sprawdzałem. Ale, krótko mówiąc, ruszali w wasze ślady. Czyli można powiedzieć, że wyznaczaliście tam pewien styl działania i pewnie kierunki?

Dokładnie tak. A jeżeli chodzi o zatwierdzanie, jako o historyczną ciekawostkę, to była cała wielka procedura.

Bo tam był jakiś taki opiekun obozu, prawda?

Tam było, co najmniej pięć różnych jednostek organizacyjnych, które w jakiś sposób uczestniczyły w tym, że ktokolwiek wychodził z bazy na jakiegokolwiek wspinanie. Najpierw wybierałeś drogę. Tę drogę trzeba było opisać, musiałeś na papierze mieć opis, musiała tam być mapka, schemat drogi w ścianie i osobno schematy dojścia dolinami oraz powrotu.

Jak plan działania armii, co najmniej.

Dokładnie. Poza tym, było badanie lekarskie i lekarz zatwierdzał, czy się nadajesz do pójścia na tę drogę, czy nie...

Bywały z tym problemy?

Tak. W szczególności z ciśnieniem. Wiesz – ludzi z Klubu Wysokogórskiego te problemy nie dotyczyły, bo to byli ludzie za pan brat z górami i wspinaczką, natomiast, co do tych wyjazdów PKG, w których zawsze brało udział 5-6 turystów górskich – miewali oni różne problemy i często się zdarzało, że ich nie wypuszczano na wycieczki turystyczne.

No, to naprawdę nieźle...

Później było sprawdzanie sprzętu. Było ustalane i zapisywane, że masz wziąć dwa haki, pięć haków lodowych, trzy śruby, trzy skalne,

czekan, młotek, raki. Przed wyjściem w danym dniu pokazywałeś dyżurnemu bazy, że to wszystko masz.

A kocher, zarcie? I to gigantyczne radio – sły-
szałem, że musieliście brać?

Cały sprzęt żarciowy i gigantyczne radio. Mnie się akurat udało nigdy nie pójść z radiem – na trudniejsze drogi zabierało się rakiety sygnalizacyjne – ale rakieta ważyła ze dwa kilo i o określonych porach wystrzeliwało się rakiety.

Czyli można było naparzać tymi raketami? Świetne! Ale słyszałem o takich numerach, że ludzie to brali i wywalali wszystko pod pierwszym kamieniem. Czy to prawda?

Nie sądzę, to raczej tylko opowiastki. Z żywnością była ciekawie. Kupowało się żywność na każdą wspinaczkę... Może jeszcze inaczej: na określony pobyt, powiedzmy dwu albo trzytygodniowy, miałeś określony przydział rubli i te ruble były wymieniane na wyżywienie w bazie, gdy szedłeś na wspinaczkę. Ilość przydzielonych ci pieniędzy – twoich nota bene, bo przecież jeździliśmy na własny koszt – zależała od trudności drogi. Miałeś różne stawki dzienne, za które mogłeś kupić żywność. Przykładowo, na drogę o najwyższej skali trudności, 5B, mogłeś wydać, powiedzmy, 10 rubli dziennie na osobę. A w skali 2B były już tylko 3 ruble dziennie. Na te niższe stopnie trudności miałeś kartofle, kapustę, chleb – coś, co było najtańsze. Ale gdy szedłeś na coś trudnego, mogłeś wziąć na wspinaczkę choćby ładnie zapakowaną żywność chińską, kraby, kawior, mogłeś brać doskonale – nawet u nas tego nie było – ziemniaki pure, no w każdym razie był duży wybór.

Jednym słowem opłacało się na trudne chodzić?

Oplacało się chodzić na trudne drogi i co więcej, można było tak dobrać żywność na 3-4 dni wspinaczkę, że nie tylko mniej ważyła, ale też była tańsza, niż przy porównywalnym zakupie w Polsce.

I pewnie była dużo lepsza?

Tak. Palniki mieliśmy własne, benzynę się kupowało – wtedy jeszcze nie było butanowych.

Ale puchy mieliście?

Tak, puchy mieliśmy i to nasze. Rosjanie mieli słabe. W ogóle Rosjanie mieli słaby i ciężki sprzęt. U nas plecak na 4 dni, na zespół 4-osobowy, ważył w granicach 12 do 15 kg, przynajmniej w pozycji wyjściowej. U nich na tę samą drogę ważyłby ze 25 – 30 kg.

Aż taka różnica?

Duża różnica, bo mieli ciężkie kute raki, ciężkie buty, ogólnie ciężki sprzęt – jedynie waga żywności była taka jak u nas.

Dochodziło do jakiś niesnasek między Polakami, a Rosjanami?

Nie, w ogóle Rosjanie są bardzo przyjaźni, a alpinisci w szczególności, atmosfera była wspaniała.

Ale czy zdarzało się, że wam nie zatwierdzano jakichś dróg albo robiono problemy z jakimiś drogami? W końcu wasz styl działania trochę od nich odbiegał...

Mieli możliwość ingerencji, ale tak naprawdę to się z tym nie zetknąłem. Mogliśmy decy-

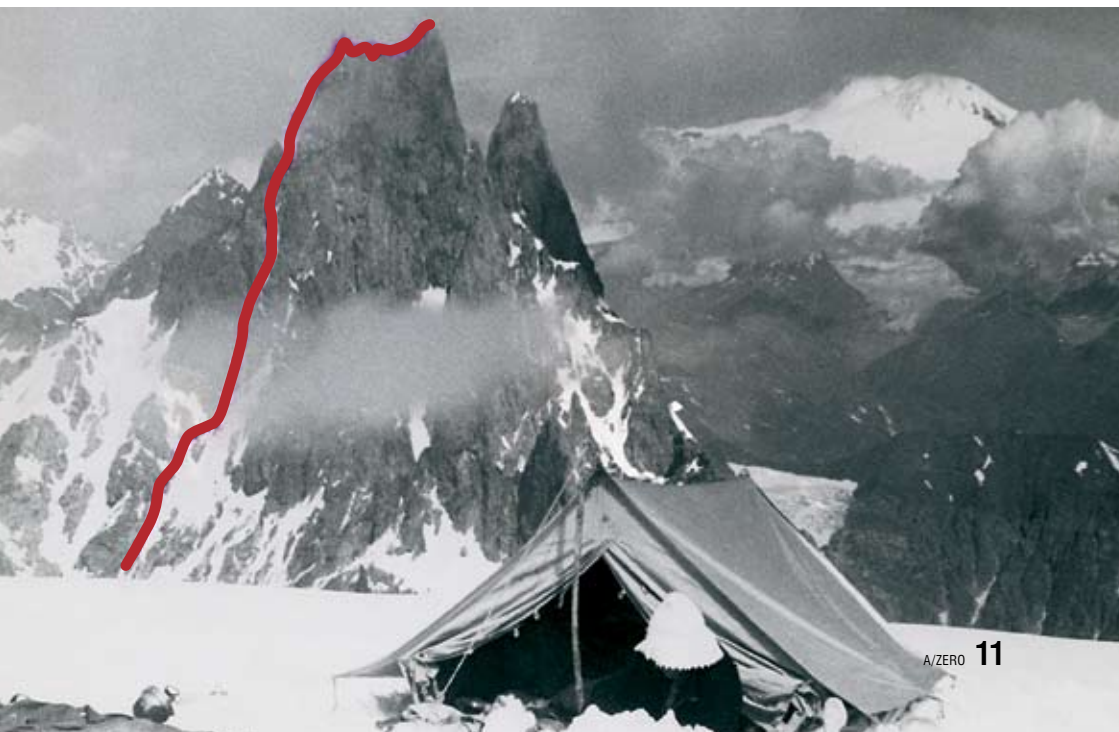
dować sami. Zaprzyjaźnialiśmy się z reguły z Gruzinami i z Ormianami. Bo właściwie alpinizm radziecki, ciekawostka, uruchomiony został przez Niemców i przez Gruzinów. Niemców, którzy już później jako obywatele Związku Radzieckiego, zostali po pierwszej wojnie światowej w Rosji. I oni głównie mieszkali w tych krajach przykawkaskich.

A powiedz, dochodziło do jakichś akcji ratunkowych? Jakiegoś spektakularnego współdziałania polsko - radzieckiego? Bo w tamtych czasach, z tego co wiem, dopiero tworzyły się zręby organizacji ratowniczych?

Owszem, organizacji ratowniczych tam nie było. Sprawa wyglądała w tamtym okresie podobnie jak u nas w Tatrach, gdy był wypadek, ogłaszano to w schronisku i się zbierała ad hoc grupa kilku osób idących na pomoc. A TOPR praktycznie wtedy u nas nie funkcjonował, przynajmniej nie w związku z wypadkami wspinaczkowymi – w latach pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych, w TOPR

Wierchotki Sszcheldy Centralnej i wsch widziane od południa z droga zejściową ze Sszcheldy centralnej.

Fot.: Zofia Siwak.





Biwak w zejściu pn-wsch granią Szchary. Na zdjęciu od lewej: Gerard Małaczyński, Jerzy Milewski, Piotr Młotecki, i Andrzej Sobolewski. Na dalszym planie urwiska wschodniej kopuły Szchary. Fot.: K.W. Olech.

wspinali się Krzysiek Berbeka, Michał Gajewski... i chyba już nikt więcej. No, może jeszcze Rysiek Wawro, już nie pamiętam... W Rosji sytuacja była podobna. Przy czym – co tu dużo mówić, na większość dróg o najwyższej skali trudności, w szczególności w rejonie Bezingi, szło się w zespole ze 100% odpowiedzialnością za samego siebie. Nie było możliwości, by w razie wypadku ktokolwiek z zewnątrz mógł udzielić jakiegokolwiek realnej pomocy.

A zdarzały się wypadki?

Z Polaków alpinistów - w tym momencie nie przypominam sobie. Zginęło kilka osób z pogranicza obszarów turystyki górskiej i wspinania.

A które ze swoich przejść w Kaukazie najbardziej zapamiętałeś, które najbardziej dało Ci się we znaki?

Był taki kular przy pierwszym przejściu drogi na Szcharę. Opisałem to zresztą w naszej książeczce, jest tam też zdjęcie. Kular ten to wyjątkowo niebezpieczny lód i śnieg. Rosjanie później (po tym naszym przejściu) w ogóle zabronili chodzenia tamtędy, czyli w ogóle nie uznali tego za drogę do przejścia. Grunt, że nam się jakoś udało tę zakazaną drogę przejść, i to szybko, z jednym tylko biwakiem – pośpiech był koniecznością, zewsząd leciały bowiem kamienie, lawinki... Natomiast przy zejściu ze szczytu, trochę poniżej 5000 m, blisko przez tydzień było totalne załamanie pogody. Nie dało się stamtąd ruszyć i przez 4 – 5 dni w ogóle nie wychodziliśmy z namiotu, wiał wiatr, padał śnieg, zrobiło się lawiniasto i na dodatek kompletnie niczego nie było widać.

Poza tym skończyła się nam żywność, której zresztą i tak nie mielibyśmy jak ugotować ze względu na wiatr; zasypywało namiot, co kilka godzin trzeba było wychodzić i go odkopywać. A propos pomocy z zewnątrz – wtedy sobie uświadomiłem, zresztą wszyscy sobie uświadomiliśmy, że nikt nam nie pomoże, że w tych warunkach żaden zespół by nie był w stanie dojść, gdyby komuś się coś stało.

Mieliście świadomość podczas tych 4 dni, że śmierć zagląda wam w oczy?

Dokładnie tak. I było to właściwie jedyne takie zdarzenie w moim życiu. Dramat polegał na tym, że siedząc w namiocie w tym czterodniowym wichrze i śnieżycy (napadało ponad metr świeżego śniegu) trudno nam było podjąć decyzję czy dalej czekać, czy próbować schodzić. A zejście oznaczało półtora kilometra w dół, do lodowca, nieznanym terenem, bo przecież nie znaliśmy drogi zejściowej, terenem w tamtych warunkach maksymalnie lawiniastym. Na szczęście po tych 4-ch dniach złapał mróz, wszystko zostało ścięte, wyszliśmy w nocy i właściwie całą tę drogę w zejściu zrobiliśmy w nocy.

Wykazaliście się przy tym rozsądkiem, bo z tego co wiem, to przeczekaliście cały dzień pogody czekając aż się zetnie ten świeży śnieg ...

To było tak, że nasza świadomość jednak już była, mówiąc górnolotnie, na pograniczu życia i śmierci. Myśmy przez te kilka dni mieli już tak dość, byliśmy tak zdesperowani, że jak się po tym obudziliśmy przy słońcu i pięknej pogodzie, z pięknym widokiem gór, to z miejsca połowa z nas była za tym, żeby natychmiast zakończyć całe to kiblowanie i zasuwać w dół. Druga połowa była temu przeciwna, z uwagi na graniczące z pewnością prawdopodobieństwo zejścia lawiny. Po prostu musiałaby zejść pod naszym ciężarem.

W której byłeś grupie?

Ja, Olech i Jurek Milewski, chcieliśmy zostać i przeczekać. Ale pozostałe osoby były dość silne, by schodzić, tak, że w pewnym momencie postanowiliśmy zdać się na los. Mianowicie, w pewnym momencie Waldek Olech stwierdził: „słuchajcie, jak do godziny dwunastej nie po-

jawi się na niebie żadna chmurka, to idziemy, a jak się pojawi to zostajemy”. No i oczywiście się pojawiła i zostaliśmy.

Postawili już na was kreskę tam na dole?

No byli wystraszeni, i szczęśliwi, że wróciliśmy. W Bezingi byliśmy jedynym polskim zespołem wspinaczkowym, bez żadnego własnego zaplecza.

Aha. Bo zaskoczyło mnie, że to w waszym wejściu prawym filarem Dychtau, tą wielką drogą, towarzyszyła wam kobieta, Jolanta Jarecka.

Jarecka była w tym czasie jedną z najlepiej wspinających się dziewczyn.

Ale jej nazwisko jakoś nie pojawia się w wielu miejscach?

Nie, nie.

Czy ona potem przestała się wspinać?

Tak, ona w ogóle po tym przestała się wspinać.

Po tym filarze właśnie?

Tak. Wyjechali za granicę.

Na biwaku pod Bzeduchem siedzą Andrzej Skłodowski (z lewej) i Janusz Fereński. Fot.: Andrzej Sikorski.



Aha, Marek Jarecki i Jolanta Jarecka, małżeństwo?

Tak, oni byli ze środowiska krakowskiego, z tego, co pamiętam. Wyjechali i przestali się wspinać. Zresztą może i gdzieś tam chodzą, bo wyjechali do Stanów.

To dosyć niesamowite

No tak, to była niesamowita rzecz. Ale słuchaj, co tu dużo mówić, ja akurat o tym nie piszę, bo to trochę głupio, ale ja ci muszę powiedzieć, że 90% tej drogi to ja zrobiłem na pierwszym.

Czyli byłeś motorem w tej drodze?

Po prostu. W ostatni dzień byłem już tak wykończony, że mi ten dzień praktycznie zniknął z pamięci. Jak wróciliśmy na dół, robiłem opis i z tego trzeciego dnia kompletnie nic nie pamiętałem. Było w ten sposób – ja robiłem wyciąg, zawieszałem linę, ściągałem jedną osobę po poręczówce do mnie, ona mnie asekurowała, ja znowu robiłem następny wyciąg, cały zespół wchodził po tej linie poręczowej i w zwięzku z powyższym, z pełną asekuracją szliśmy bardzo szybko, bo po tej poręczówce towarzystwo zapychało już szybko.

Przynajmniej worka nie musiałeś dźwigać.

Dokładnie, worka nie, więc robiłem to z przyjemnością, mnie to bardzo odpowiadało. Jedyną osobą z tego naszego zespołu, która mnie psychicznie podtrzymywała i o której wiedziałem, że jak ja nie przejdę, to ona przejdzie, to była właśnie Jola Jarecka.

Taka była twarda?

Tak. Była zupełnie fantastyczna. Gdy się wspinała, była na poziomie naszych najlepszych dziewczyn.

Niesamowite... Andrzej, potem naloileś jeszcze dużo w Pamirze i w Andach, ale to jakby nie jest już temat... W Ałtaju.

W Pamirze miałem pecha., zdarzyła mi się podobna przygoda, jeszcze gorsza. Mianowicie, niepogoda złapała nas w czwórce w namiocie, na grani Piku Lenina. To jest na wysokości około 7 tysięcy metrów. Przez blisko 40 godzin wiało i nie mogliśmy wyjść z namiotu. Byliśmy sami na grani, bo cała grupa rosyjska (to była międzynarodowa alpinada), czyli alpinistów

radzieckich i pozostałych, była o 500 metrów niżej, my po prostu szybciej wyszliśmy.

Obecnie Kaukaz odszedł trochę w zapomnienie, jest u nas w klubie zaledwie jeden człowiek – Paweł Karczmarczyk, który w miarę regularnie jeździ w Kaukaz, głównie po to, by powtarzać drogi, które wówczas robiliście, i samo dorównanie do waszego ówczesnego poziomu może być uważane za duże osiągnięcie. To oczywiście świadczy najlepiej o tym, jaki wysoki był wówczas wasz poziom. Czy jednak nie patrzysz z pewnym smutkiem na to, że – w pewnym sensie – cała ta wasza robota w Kaukazie poszła w zapomnienie?

Patrzę na to z dużym smutkiem, dlatego m.in. ucieszyłem się, że chcesz napisać ten artykuł. Ciągłe jestem na etapie myślenia o tym, żeby napisać historię wyjazdów klubów PKG, również o Kaukazie, że w ogóle nie ma na ten temat książek, a przecież to są naprawdę nasze autentyczne osiągnięcia, największe polskie w górach typu alpejskiego. Są również wielkimi osiągnięciami w sensie pierwszych dróg w ogóle. W sensie sportowym, wyżej od Kaukazu stawiać można polskie przejścia zimowe w Alpach. Ale Kaukaz jest ciągle egzotyką i moim zdaniem wyjazdy tam powinny być rozpropagowane.

Tylko jak je rozpropagować, jak zachęcić ludzi, żeby tam jechali. Wszyscy wiedzą, że te góry są groźne, groźniejsze niż Alpy, wymagają większego obycia, prawda?

Właśnie o to chodzi, że są groźne. Dochodzę do wniosku, że sprawdzone i właściwe jest nie traktowanie tego jak wyprawy w Himalaje czy inne góry egzotyczne, ale jako wyjazd klubowy, czyli w co najmniej 10 uczestników. Wtedy tworzy się atmosfera, wtedy zawsze ktoś jest w obozie i czuwa, łatwiej rozpoznać, że ktoś się gorzej czuje. Wtedy zaczyna się też rywalizacja, zaczynają się opowieści: "ja przeszedłem tę drogę, ty przeszedłeś tę drogę". Moim zdaniem przy takim postawieniu sprawy rozpocznie się tworzenie na nowo kaukaskiego mitu. Dotyczy to również samej organizacji przedsięwzięcia przez klub, oraz późniejszej działalności spr-

wozdawczej. Po indywidualnym wyjeździe możesz się zastanawiać, czy w ogóle napisać artykuł, czy się nadaje do „Taternika”, czy droga jest warta wzmianki. Tymczasem w przypadku zorganizowanego wyjazdu klubowego pisze się po prostu wspólne sprawozdanie – wspólny artykuł na temat tego gdzie kto był i co robił. Myślę, że zorganizowane przedsięwzięcia klubowe to optymalne podejście do Kaukazu w obecnym czasie.

Czy uważasz, że Kaukaz to są góry klasy Alp, czy raczej rodzaj poligonu przed wyższymi górami?

Kaukaz, szeroko rozumiany, w tym zwłaszcza rejon Bezingi, jest co najmniej o dwie klasy wyżej aniżeli Alpy, włącznie z najtrudniejszymi drogami alpejskimi. Mówię o drogach, lodowo - skalnych, bądź też lodowych, nie typu skałkowego, nie typu Dolomity, czy jakieś tam piękne drogi na Mont Blanc. W Kaukazie są po prostu wielkie drogi i ściany, jest Czatyntau Szchelda, Szchara, Ulltutaczana, jest szereg gór dających przygotowanie do wyjazdu w Himalaje, Karakorum, Pamir.

Sugerujesz, że powinniśmy tam zmontować obóz?

Uważam, że to jest jedna z najlepszych form.

Klubowy obóz, film, zdjęcia...

Rozumiem, że na Twoją pomoc logistyczno - informacyjną można liczyć?

Na moją pomoc informacyjną i logistyczną można liczyć, dopóki będę. Zresztą przed każdym swoim wyjazdem przechodzę badania lekarskie, żeby mniej więcej wiedzieć, na jakim etapie fizycznym jestem. W Kaukaz jestem gotów pojechać za swoje własne pieniądze, po to tylko by być w bazie i czuć, bez żadnej funkcji innej niż funkcja dobrego ducha.

Kiedy byłeś ostatni raz w Kaukazie?

Ostatni raz byłem dwa lata temu. Podszedłem samotnie lodowcem na wysokość ponad 4 tys. metrów, zrobiłem zdjęcia.

Ile miałeś lat wtedy?

No wiesz, wtedy byłem młodszy o dwa lata. Teraz mam 74, czyli zapewne miałem 72 (śmiech).

No to życzyłbym sobie i wszystkim, żeby mając 72 lata mogli założyć na 4 tys. metrów.

Zdjęcie z archiwum Andrzeja Sobolewskiego.



Pytania z Kaukazu?

Tekst i zdjęcia: **Paweł Karczmarczyk**

Jeden plecak, drugi plecak, trzeci plecak mam...

Co ja teraz, co ja teraz zrobić mam?

Czy to już nadbagaż?

Jedziemy - ja, tj. Kaczmar i Tomek Tokarz, w góry nam znane, na spotkanie z tym co jeszcze niedoświadczone, bądź nie do końca oswojone.

O czym pisać?

O gorącym przyjęciu przez kaukaskich górali i personel bazy Bezingi?

... to już było.

O trudności przechwytów, wycenie poszczególnych fragmentów?

... rzecz względna.

Alpinizm. To znaczy, że uprawia się to w Alpach?

A wysokogórski, to od jakiej wysokości?

A może to wyjście w góry, z biwakiem, żarciem, paliwem, sprzętem, celem i... respektem do tego co się robi...

Wyjście pierwsze

Cel: wyciągnąć ze szczeliny brzożnej ciało czeskiego alpinisty Karola.

To ciemna strona tej dziedziny, której nie ma w katalogach i kalendarzach.

Co zawiodło? Wypadek? Przecież był doświadczony...

Pierwszy raz w Kaukazie. Pierwsza góra. Pierwszy pięciotysięcznik...

Może za dużo tego pierwszeństwa...

Wyjście drugie

Cel: Pik Brno 4100 m; południową granią; 1B;

Pik Kursantów Zach.-Wsch. 3809 m; zachodnią granią, trawers; 2B.

Czy warto przypomnieć sobie, jak chodzi się w rakach po kilkumiesięcznej przerwie?

...przecież jesteśmy w tym zajębiści...

Czy warto chodzić po piargach, osypach i kruchym terenie?

Przecież tyle litych ścian na nas czeka gotowych do łojenia i na wyciągnięcie ręki...

A może to do czegoś się przyda?

Przecież każda góra ma swoje podejście i zejście z brakiem dokładnej informacji o jej zagrożeniach (które w dodatku się zmieniają, jak wszystko w życiu)...

A bez wyceny, to znaczy, że łatwo?





Dych Puszki.

Wyjście trzecie

Cel: Ukiu 4346 m; południowym żeblem, 4A; Ural Wsch. 4150 m; filarem północnej ściany; 5A.

Aklimatyzacja, to znaczy, że już głowa nie boli i dotyczy tylko wysokości?

A może to poczucie, że jest się w pełni gotowym do podjęcia górskiego wyzwania...

Która ze szkół alpinizmu jest najlepsza?

Która przygotowuje do wszechstronnej działalności w górach wysokich?

Ile powinna trwać? Dwa tygodnie, dwa miesiące, dwa lata?

Czy powinniśmy się w dużej mierze uczyć na własnych błędach?

A może ta dziedzina jest u nas nieco zaniedbana, wymaga więcej konsekwencji, świadomości z ryzyka podejmowanych działań,

Miejsce pierwszego biwaku na pld. ścianie.
Dych Tau Gł. 5204 m – rano.



opieki ze strony „trenerów“, nie tylko instruktorów na kursie...

Z wolności też trzeba umieć korzystać...

Wyjście czwarte

Cel: Dychtau Gł. 5204 m; lewym filarem południowej ściany 5A.

Pięć dni w ścianie... wszystkie znane mi techniki... bez nazywania, bo nie każda chyba ma swoją nazwę.

...bo w miękkich z wkliniowanymi instrumentami to co to będzie? Kłasyka jesienna?

I te piargi na podejściu i kruszyzna w zejściu. O mało tam nie polegliśmy. Tak. Nie w kluczowych...

A może tak...

A może nie...

Kto to wie?



Tomek Tokarz i Aleksiej Bukinicz na wierzchołku. Dych Tau Gł. 5204 m.



Lato pełne śniegu,



czyli wyprawy Alpinus K2 i Alpinus Nanga Parbat.

Tekst i zdjęcia: **Piotr Morawski**



Po zakończeniu Tryptyku Himalajskiego, siedzieliśmy z Peterem Hamorem na lotnisku w Islamabadzie i zastanawialiśmy się, dokąd wybrać się w kolejnym roku. Byliśmy pewni, że chcemy jechać w małym zespole, tam, gdzie nie ma wielu ludzi, najlepiej na nową drogę. Jednym z pomysłów była zachodnia ściana K2. Po powrocie do kraju pojechałem do Wojtka Kurtyki, który pokazał mi zdjęcia i opowiedział o drodze, której próbował. Już wtedy wiedziałem, że chcę tam pojechać. Hamor przytaknął ochoczo. Oczywiście powstał problem pieniędzy. Pierwszy raz w życiu miałem jechać na swoją samodzielną wyprawę. Na szczęście współpraca z „Alpinusem” rozwiązała ten problem. Przed samym wyjazdem dołączył się jeszcze „Lion”. Podczas festiwalu w Krakowie poznałem Doda Kopolda, który wcześniej rozmawiał z Hamorem. Po krótkiej rozmowie nasz team był gotowy. Trójka wydawała nam się odpowiednim składem na nową drogę na niezdobytej do tej pory zachodniej ścianie K2. Tylko gdzie się zaaklimatyzować? Jeśli chcemy wejść na nową drogę, najlepiej jest to zrobić w jednym uderzeniu, zatem musimy być świetnie zaaklimatyzowani. Początkowo myśleliśmy o Rakaposhi, ale potem przypłatał się pomysł z Nangą Parbat. Jak się przypłatał, tak pozostało.

Na Nangę zebraliśmy większą ekipę. Naszym celem była ściana Diamir i droga Kinshofera, czyli tzw. droga normalna. Oprócz nas jechała Kinga Baranowska, Bask Roberto Rojo (Gori) oraz trzech Słowaków: Martin Gablik, Anton Suchy i Rudolf Bosjak. Po przybyciu okazało się, że droga jest już zapożyczona przez Chilijczyków do obozu

Miejsce obozu II na Nanga Parbat
(ok. 6000 m n.p.m.)

II, powyżej skalnych trudności. Szybko ruszyliśmy do góry. Pierwsze uderzenie naszej trójki dotarło do wysokości 7500 m, prawie bez aklimatyzacji, po około 2-ch tygodniach od wylądowania w Islamabadzie. Przesadziliśmy. Śnieg był głęboki, torowanie wysysało siły, a na sam atak szczytowy wyruszyliśmy z obozu III na wysokości 6800 m. Do szczytu mieliśmy zatem ponad 1300 m. Następna próba była bardziej przemyślana. Szybko dotarliśmy do trójki, założyliśmy pokornie obóz IV-ty na wysokości 7200 m i... załamała się pogoda. Siedzieliśmy tam z niewielką ilością jedzenia, bo byliśmy przygotowani na szybki atak. Ale cierpliwość się opłaciła. 15-go lipca, mimo silnego wiatru, dotarliśmy na wierzchołek Nangi. Przygód było sporo, śnieg głęboki, puściliśmy ze dwie lawinki spod szczytu - ale było warto, chociaż na samym szczycie udało nam się spędzić tylko kilka minut. Wiatr i mróz spędzili nas na dół.

We trzech szybko przemieściliśmy się pod nasz główny cel, czyli zachodnią ścianę K2. Wszystkie wyprawy schodziły na dół, psiocząc na złą pogodę. Przecież nie może być ciągle zła pogoda! - pomyślałem. Dotarliśmy do bazy w słońcu, założyliśmy bazę wysuniętą na wysokości 5500 m, na lodowcu Savoia, zaraz pod zachodnią ścianą. Nowa droga przytłaczała. Schodziły nią lawiny, ściana ginęła w chmurach, a na zachodniej ścianie (na szczęście na innej linii) pracowało ponad dwudziestu Rosjan. Wróciliśmy do bazy przygnębieni. Pogoda dostosowała się do naszego humoru i przez następne trzy tygodnie padał śnieg albo deszcz. Z dnia na dzień spadała nam motywacja. Jednak czekaliśmy. Potrzebowaliśmy na naszą drogę pięciu dni dobrej pogody. Oraz kilku dni czekania, aż naszym kuluarem zejść lawiny. Ile można czekać? Do końca ważności pozwolenia. Ktoregoś dnia przyszedł do nas David z bazy austriackiej. Szykowały się dwa

Na Ramieniu K2, na wysokości ok 8000 m n.p.m., w tle Gasherbrumy oraz Broad Peak

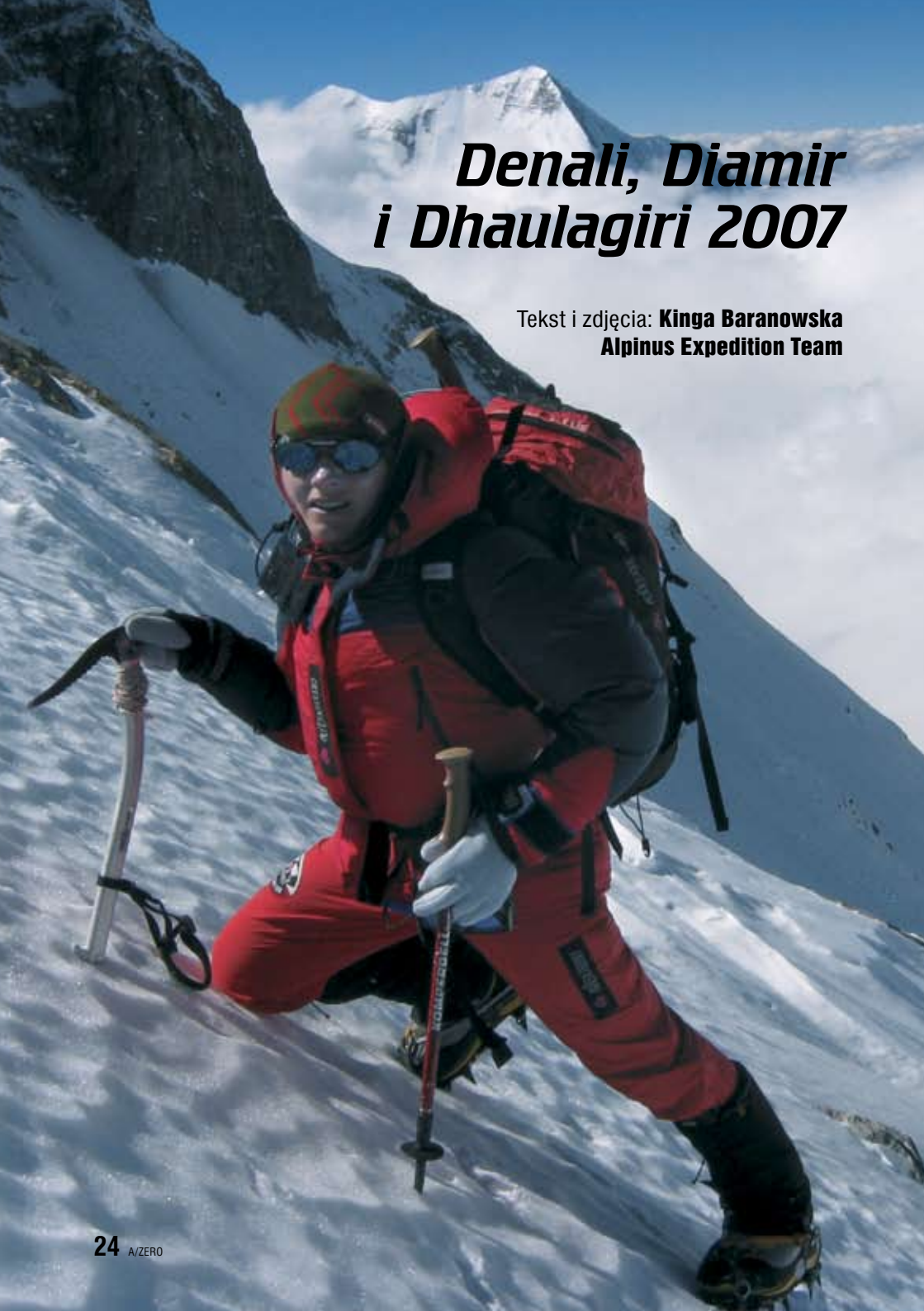


dni dobrej pogody. Mieli plan, by je wykorzystać na drodze Cesena, którą zaporęczowali Amerykanie, aż do wysokości 7800 m. Trzeba tylko iść non stop, by zdążyć w tak krótkim oknie pogodowym. Plan nas zachwycał. Po tylu tygodniach beczynnego siedzenia, mogliśmy coś w końcu zrobić. Dalej wydarzenia potoczyły się niczym w przyspieszonym filmie. Jedna nieprzespana noc i zwinęliśmy bazę wysuniętą pod zachodnią ścianą, gdzie mieliśmy cały sprzęt. Trochę nas zmęczyły ciężkie wory, ale wizja ataku uskrzydlała. Kolejnej nocy także nie mogłem spać, ponieważ startowaliśmy o drugiej godzinie. Bez namiotów, śpiworów, w plecakach tylko trochę jedzenia, maszyna do gotowania i coś ciepłego do ubrania. Szliśmy według planu. Miejsce dwójki na 6400 m i dwie godziny odpoczynku. Miejsce trójki na 7100 m i trzy go-

dziny odpoczynku. W nocy dotarliśmy na 7800 m do czwórki. Biwak był nieprzyjemny, wyszał z nas ostatnie siły. O godzinie 6 rano wystartowaliśmy ku wierzchołkowi. Z naszej 7-osobowej ekipy została tylko piątka, dwóch zawróciło. O godzinie 10-tej byliśmy na Ramieniu K2, na wysokości około 8000 m. Po trzech nieprzespanych nocach, po ciągłym wysiłku, tempo nam spadło. Stało się jasne, że przed zmrokiem nie znajdziemy się na szczycie. Okno pogodowe się kończyło. Decyzja była oczywista. Jeszcze ostatnie spojrzenie na Broad Peak i Gasherbrumy, potem na wierzchołek K2 i schodzimy. Po trzydziestu godzinach marszu daliśmy za wygraną. Góra poczeka. Potem znowu śnieżyło. Cóż, zachodnia ściana też poczeka. Nawet nie dała nam się przystawić. Kolejny rok, kolejne plany... Góry były, są i będą.

Obóz III na drodze Cesena na południowej ścianie K2 (około 7100 m n.p.m.)





Denali, Diamir i Dhaulagiri 2007

Tekst i zdjęcia: **Kinga Baranowska**
Alpinus Expedition Team

Na Alaskę wybieram się (też!) z czystej ciekawości. Jak tam jest? To moja pierwsza wizyta na tym kontynencie, i zaczynam od najbardziej oddalonego stanu. Ma to być tzw. „wprawka” przed Nagą Górą. Na każdym kroku jest to dla nas „dziki zachód” - miejscowi w kapeluszach na głowie, w ogromnych autach z napędem 4x4 i psem na pace. W sklepach, gdy dowiadują się, że jesteśmy ze stolicy Polski, pada pytanie – jak się mieszka na „capitolu”? - co najmniej dziwne, gdy zadaje ci je Amerykanin.

Narodowy Park Denali to dla mnie zupełnie nowe doświadczenie, zarówno pod względem organizacyjnym (podanie o zdobywanie szczytu z wykazem zdobytych gór, film pouczający, kubelki na załatwianie się i inne takie), jak i ilości osób na trasie. No i ten dzień polarny... Tu na pewno nie ma problemów, ani wykrętów tego typu, że nie zdąży się zrobić drogi, bo dzień się skończył. Przynajmniej przez sześć miesięcy w roku. Nie rozpisując się za wiele, powiem tylko, że warto tam wrócić, przynajmniej na West Riba, albo Cassina. Ale nie można sobie pozwolić na błędzenie we mgle i wpadanie do szczelin. Kończy się to ciężkimi odmrożeniami. W końcu to prawie koło podbiegunowe...

Aklimatyzacja zostaje poczyniona i bezpośrednio stamtąd przenoszę się na Nangę (8125 m). Moje marzenie... Temperaturę minus 40 stopni zamieniam na plus 35, a do tego dochodzi kilkanaście godzin różnicy czasu. Przez pierwsze dni odczuwam to boleśnie.

Te same krajobrazy widziane z Karakorum Highway, co rok wcześniej. Mniej już drażni „Inszallah” („tak chce Allah”) wypowiedane przy każdej okazji... Nasze nerwy i tak na nic się tu zdadzą. Trzeba przyjąć wszystko takim, jakim jest. Sama akcja górską idzie sprawnie. Wykorzystujemy każdy dzień pogody, jaki się nadarza. Moim partnerem wspinaczkowym jest Gor-



Pow. obozu II na Dhaulagiri. Na horyzoncie masyw Annapurny.

ri z Hiszpanii, z którym wspinałam się już rok wcześniej na Broad Peak.

Na Nandze znajduje się razem pięć ekip z całego świata, w tym dwie z Chile. Chcą stanąć wreszcie na szczycie Nangi, gdyż do tej pory nie było na niej jeszcze żadnego Chilijczyka. Udaje mi się zobaczyć ich radość na szczycie, gdy wreszcie kilku z nich tam dociera. Większość z naszej, polsko-słowacko-baskijskiej ekipy, również stanęła na wierzchoł-

Tukucze Peak (6920 m) widziane z okolic 8 tys. na Dhaula.



Na wysokości obozu III na Dhaulagiri (ok. 7200), na horyzoncie Dhaulagiri II.

ku Nangi. Myślę, że jest to zasługa i dobrych warunków, jakie zastaliśmy w ścianie Diamir, i ogromnej motywacji, która nam towarzyszyła przez cały czas wspinaczki.

Na Nandze poznaję Dodo Kopolda, wybitnego wspinacza ze Słowacji oraz dwóch wspinaczy z Francji. Rozmawiamy o następnych projektach i okazuje się, że mamy wspólny cel – Dhaulagiri (8186 m). Po dłuższym namyśle stwierdzamy, że wybierzemy się do Nepalu jeszcze tej jesieni. Nie jest łatwo zorganizować w ciągu paru tygodni wyprawę, ale... kto bardzo chce, da radę. Ta

góra okazuje się mniej łaskawa niż Nanga. Mimo, iż droga jest prostsza technicznie, to bardziej niebezpieczna. Bardzo lawiniasta i pokryta siatką szczelin. Przez większość czasu nie ma w ogóle możliwości wyjścia z bazy. Ścianą ciągle lecą lawiny i wszyscy w bazie z trwogą nasłuchują ich huczenia. Pod koniec naszego pobytu pod Dhaulą, gdy do opuszczenia bazy zostaje nam już zaledwie kilka dni, pojawia się okno pogodowe.

Decydujemy się pójść „na lekko”, od razu na szczyt. Pod Dhaulą zostaje nas już tylko czwórka. Docieramy aż na grań szczytową



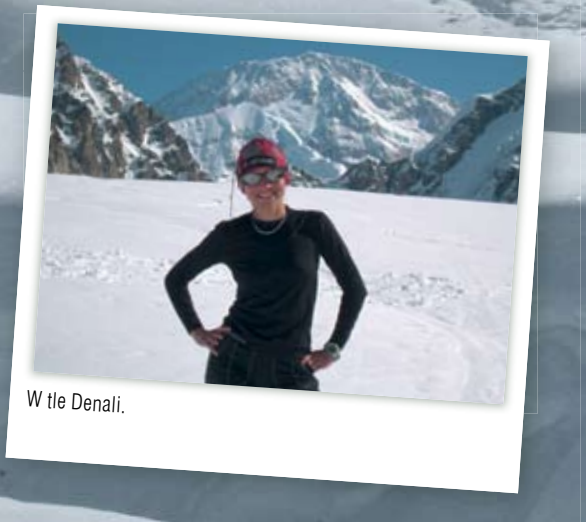
Karkotomne zejście z Dhaulagiri.



Karkotomne zejście z Dhaulagiri.

powyżej 8 tys. m, jednakże do szczytu i tak jest daleko, no i pogoda gwałtownie się pogarsza. Zejście okazuje się być dla nas karłomnym wyzwaniem, trwa bardzo długo, ale na szczęście kończy się dobrze.

Podsumowując – rok miałam udany i pełen nowych doświadczeń. No i chyba o to chodzi, by się cały czas rozwijać. Nie poddawać się i próbować dalej. Byle z pokorą.



W tle Denali.

Droga do obozu I na Dhaula.



Tekst i zdjęcia: **Marcin Miotk**

PRZEPROSINY Z LENINEM

Gdy rok temu, po zdobyciu Piku Komunizmu, do zdobycia tytułu Śnieżnej Pantery brakowało mi jeszcze „tylko” Piku Lenina, pomyślałem sobie, że to przysłowiowe „małe piwo”. Pik Lenina, reklamowany jako jeden z najłatwiejszych siedmiotysięczników świata, wydawał się celem do pokonania.

W sierpniu 2007 r. wzięłem z dwójką przyjaciół dwa tygodnie urlopu i pojechaliśmy pod Lenina. Jakież było moje zdziwienie, gdy już podczas podejścia do obozu pierwszego, gdy pytaliśmy o zdobycie szczytu, większość schodzących przecząco kiwała głowami. Zapaliła się nam żółta kontrolka – podobno taki łatwy, więc dlaczego tak mało osób weszło? Według pobieżnych obserwacji, na szczyt wchodziło zaledwie około 15-20% atakujących. Spotkaliśmy też duże, doświadczone i dobrze przygotowane grupy Polaków, które miały spore problemy ze zdobyciem szczytu.

A więc dlaczego? Obserwacja akcji górskiej, warunków atmosferycznych i zachowań uczestników skłoniła mnie do nakreślenia kilku przydatnych wskazówek, których przestrzeganie może zwiększyć prawdopodobieństwo zdobycia szczytu. Pik Lenina jest bardzo popularny wśród Polaków. Dla większości z nich to pierwszy wysoki szczyt i naprawdę warto dobrze się przygotować, aby nie zniechęcić się do wysokich gór.

1. Co możemy zrobić przed wyprawą? Osobiście, przed każdą wyprawą (około 1-2 tygodni) staram się udać w średnie góry (najlepiej Alpy, ale też Tatry), aby spędzić minimum jedną lub dwie noce na większej wysokości. Nawet spędzenie tych dwóch nocy w tatrzańskich schroniskach powyżej 2000 m n.p.m. daje organizmowi ważny bodziec do przebywania na wyższej wysokości w przyszłości. Tak zaprogramowany organizm zaczyna powoli przygotowywać się do wysokości, produkując czerwone krwinki.
2. Dojazd do bazy. Często wyprawa trwa 2-4 tygodnie, upewnijmy się, że czas przeznaczony na wyprawę nie zostanie „zjedzony” przez kilkudniową podróż. Nam udało się

w 24 godziny dostać z Warszawy do bazy pod Leninem. Im krótsza podróż, tym mniejsze zmęczenie i więcej czasu na aklimatyzację. Przejazdy pociągami do Moskwy to przeżytek – dzisiaj w cenie nieco powyżej 2 tysięcy złotych można dostać bilet do Bishkeku. Podobnie rzecz ma się z przelotem do Osh – według mnie warto wydać nieco ponad 100 złotych za bilet lotniczy, niż spędzić kilka lub kilkanaście godzin w gruzawiku, z plecakiem na kolanach. Ktoś może powiedzieć, że to i tak duże koszty. Racja – ale jeśli kogoś nie stać na te podstawowe przeloty, to powinien odłożyć wyprawę na następny rok – w końcu po co jeździć dwa razy...

3. Dojście i transport rzeczy do jedyńki. Droga do obozu I (4500 m n.p.m.) to kilka kilometrów męczącego podejścia wraz z pokonaniem widokowej Przełęczy Podróżników (4100 m n.p.m.). Według mnie należy tą drogę pokonywać tylko raz i traktować obóz I jako bazę. Po drugie, warto skorzystać z opcji transportu rzeczy. Miejscowi Kirgizi za 1\$ za kilogram przewiozą sprawnie nasz ekwipunek do jedyńki. „Zaoszczędzone” w ten sposób siły na pewno przydadzą się w końcowej fazie wyprawy.
4. Aklimatyzacja. Lenin, podobnie jak np. Kilimandżaro, to góra, gdzie występuje duża pokusa szybkiego zdobywania wysokości. Brak większych trudności technicznych, stosunkowo stabilna pogoda powodują, że ludzie mają naturalną tendencję do zdobywania kolejnych obozów w krótkim czasie. Jest to szczególnie niebezpieczne dla tych, którzy po raz pierwszy przebywają w górach wysokich. Należy podkreślić, że droga z jedyńki do dwójki jest bardzo długa (około tysiąc metrów przewyższenia) i może zająć nawet do 10-ciu godzin. Warto więc ruszać do góry bez dużego bólu głowy, bo wyżej – lepiej chyba nie będzie...
5. Presja grupy. Lenin to góra bardzo popularna. Sam tłok na górze nie stanowi problemu, bo nie ma tu „wąskich gardeł”. Największy

problem stanowi presja tłumu – sam widziałem jak jedna, szybciej aklimatyzująca się osoba była w stanie zdemotywować całą dużą grupę. Nie dajmy się zwariować – jak ktoś czwartego dnia wyprawy śpi już w obozie II – to jeszcze o niczym nie świadczy. Wyprawa trwa długo i potrzeba dobrze rozłożyć siły. Jeśli boli cię głowa – nie naśladuj innych, tylko poczekaj z wyjściem do góry.



Ponowne wyjście do dwójki.

6. Położenie obozów. Tragedia z 1990 roku, podczas której lawina zasypała obóz II, a wraz z nim grupę 43-ch alpinistów pokazuje, że do miejsca zakładania obozów należy podchodzić bardzo uważnie. Obóz II (5500 m n.p.m.) powinno się zakładać poniżej skał na wyraźnie zarysowanej grzędzie. Problemem jest znalezienie miejsca na namiot – szczególnie w szczycie sezonu. Jednak warto dobrze pokombinować, bo nie ma innego miejsca. Bardzo odradzam stawianie namiotu poniżej grzędy, gdyż jest to miejsce bardziej narażone na lawiny. Lepiej już jest rozważyć przeniesienie obozu powyżej obozu II, ale to ciężkie do wykonania zadanie, ponieważ droga z jedyńki do dwójki jest bardzo długa i brak jest później czasu i sił, aby wynosić sprzęt tak wysoko za

jednym wyjściem. Obóz III (6100 m n.p.m.) stawiany jest najczęściej albo tuż poniżej szczytu Piku Rozdzielna, albo na przełęczy. Największym przekleństwem tego obozu jest wiatr. A wieje niemal zawsze. Dobrym pomysłem jest również wkopanie namiotu w śnieg lub/i postawienie murku ze śnieżnych bloków, aby lepiej chroniły przed porывami wiatru.

7. Obóz na 6400 m. Jeśli nie nazywasz się Denis Urubko (poniżej 9 godzin z jedyńki na szczyt) lub jeśli 7 kilometrów grani szczytowej robi na tobie wrażenie – warto pomyśleć o założeniu obozu w okolicach 6400 m n.p.m. – skrócimy sobie zdecydowanie dystans do szczytu oraz zabezpieczymy drogę odwrotu w razie nagłego załamania pogody lub widoczności (co jest częstym zjawiskiem). Osobiście polecam taktykę dwudniowego ataku szczytowego, czyli: poranne wyjście z obozu III, nocleg na wysokości 6400 m i bardzo wczesny atak szczytowy.
8. Atak szczytowy. Bez względu na wybrany wariant ataku (z wysokości 6100 m lub z 6400 m), musimy wyjść bardzo wcześnie. Jest to podyktowane dużą odległością od szczytu oraz częstymi załamaniami pogody. Pik Lenina leży na granicy stepów i gór wysokich, co powoduje, że „ściaga” on chmury z całej okolicy. Często w godzinach wczesnopopołudniowych (między godz. 12-tą a 14-tą) zaczyna się chmurzyć i pogarsza się widoczność. Dlatego posiadanie kompasu lub/i GPS (pod warunkiem, że się go biegle używa) wydaje się być prawdą oczywistą.
9. Pik Razdzielna (ok. 6100 m n.p.m.). Dla większości osób Pik Lenina to pierwsze spotkanie z górami wysokimi, pierwsze, poza Alpami, góry lodowcowe. Zachęcam wszystkich, którzy z różnych powodów poczują, że nie dadzą rady wejść na Lenina, aby spróbowali zdobyć „przynajmniej” Pik Razdzielnej. To także duże osiągnięcie! To wyżej niż najwyższy szczyt Europy, najwyższy szczyt Antarktydy, najwyższy

szczyt Australii i Oceanii, porównywalny z najwyższym szczytem Ameryki Północnej. Wyższe szczyty od Razdzielnej (poza Azją), znajdziecie tylko w Ameryce Południowej! Nie traktujcie wyjazdu na Lenina na zasadzie: albo Lenin albo nic. Zdobyć Rozdzielnej może dać naprawdę dużą satysfakcję z obcowania z górami wysokimi.

10. Inne – szczeliny, słońce, zagrożenie lawinowe. Pomiędzy jedyneką i dwójką przecho- dzimy przez lodowiec. Dobrym pomysłem jest więc związanie się liną (szczególnie pod koniec sezonu, tj. od końca lipca). Zagro- żenie słońcem na Leninie jest nie mniejsze niż zagrożenie odmrożeniami – tak więc pomadka do ust, dobry krem i nakrycie głowy to konieczność. Zagrożenie lawinowe istnieje prawie wyłącznie pomiędzy jedyneką i dwójką, chociaż po kilkudniowym opadzie śniegu może być wszędzie.

Jeśli uważasz się za doświadczonego alpini- stę i większość poruszonych tematów wydaje ci się oczywista, chciałbym abyś zapamiętał

tylko radę o założeniu obozu na wysokości 6400 m. Naprawdę warto!

P.S. Wejściem na Pik Lenina Marcin Miotk przypieczętował zdobycie tytułu Śnieżnej Pantery – przyznawanej za zdobycie pięciu najwyższych szczytów w byłym ZSRR.

Daty wejść:

Chan Tengri (7010 m n.p.m.) – 11.08.2002 r.

Pik Pobiedy (7439 m n.p.m.) – 15.8.2004 r.

Pik Korżeniewskiej (7105 m n.p.m.) - 07.08.2006 r.

Pik Kommunizmu (7495 m n.p.m.) - 15.08.2006 r.

Pik Lenina (7134 m n.p.m.) – 14.08.2007 r.

Więcej informacji, zdjęć z wyprawy na:
www.MIOTK.pl

Sponsorem wyprawy był:



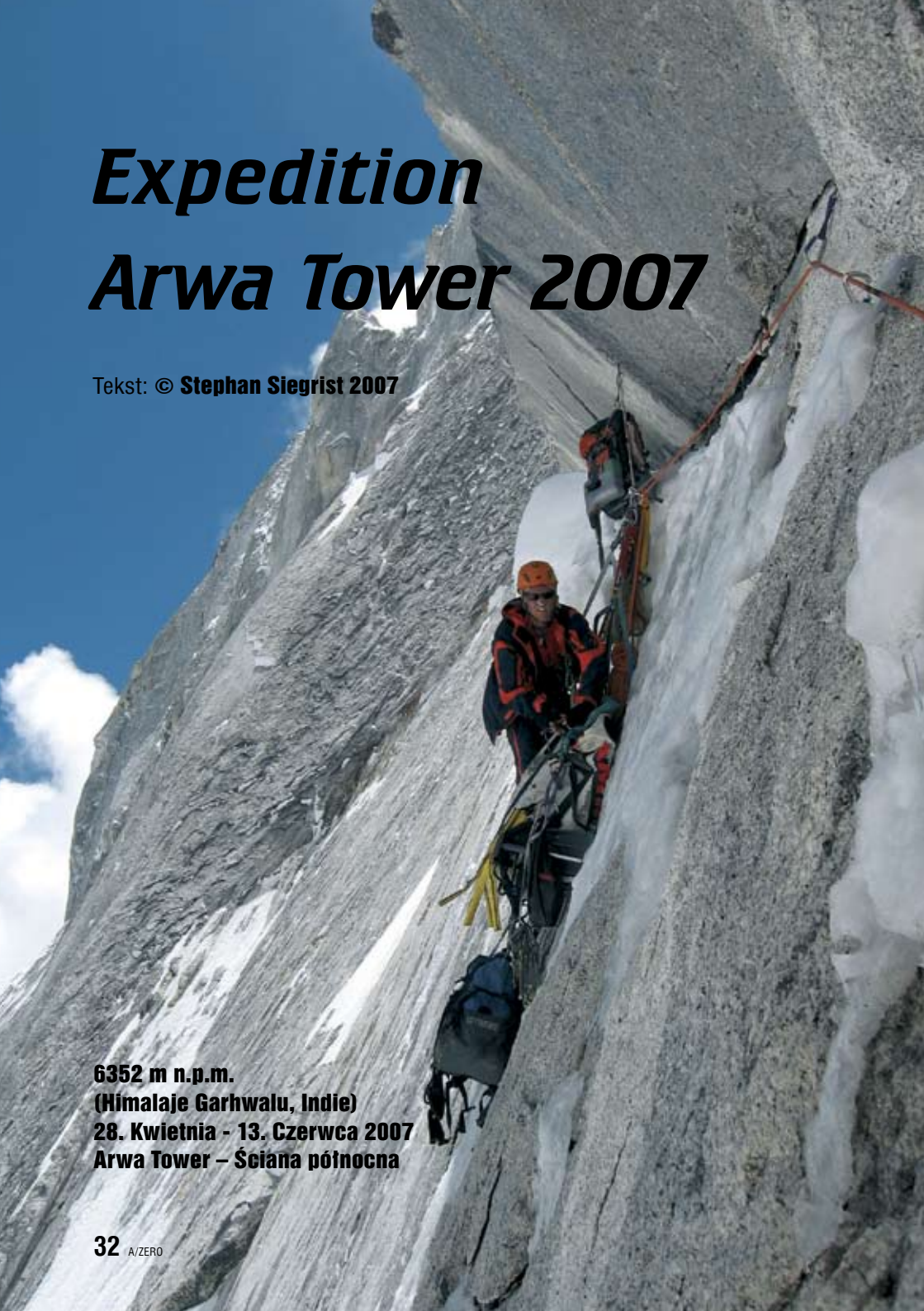
Podejście do dwójki.



Expedition Arwa Tower 2007

Tekst: © **Stephan Siegrist 2007**

**6352 m n.p.m.
(Himalaje Garhwalu, Indie)
28. Kwietnia - 13. Czerwca 2007
Arwa Tower – Ściana północna**



Pierwszymi wspinaczami, pochodzącymi spoza Chin, którzy odwiedzili leżący blisko chińskiej granicy region, w którym znajduje się Arwa Tower, byli w 1999 roku Mike Fowler i Steve Sustard. Posiadali oni zaledwie garść informacji o tym, gdzie na owym wojskowym terenie mogą znajdować się piękne szczyty. Dzięki nim właśnie udało im się odnaleźć „zaginioną dolinę”, jak ją sami nazwali, oraz szczyt Arwa Tower, ukryty pomiędzy dwoma graniami, prawie niewidoczny z głównej części doliny, prowadzącej do Arwa Spire i przełęczu Kalindi.

Zdjęcia zrobione przez Mika Fowlera obiegły cały świat. Przede wszystkim te, które pokazywały północną ścianę Arwa Tower. Znałe na całym świecie czasopismo górskie „American Alpine Journal”, wykorzystało jedno z nich jako zdjęcie tytułowe do jubileuszowego wydania na rok 2000. I na nim właśnie, w „bibliotece alpinisty” mojego amerykańskiego kolegi, ujrzałem po raz pierwszy tę piękną, północną ścianę. Byłem pod tak dużym wrażeniem obrazu, który zobaczyłem, że niezwłocznie zrobiłem sobie zdjęcie tejże okładki. Jednak ta ogromna fascynacja i idąca za nią przyszły projekt musiał jeszcze trochę się we mnie rozwinąć. W tamtym czasie pierwszoplanowe były dla mnie inne cele i projekty, a koszty, jakie należałoby ponieść na zezwolenie na poruszanie się w terenie wojskowym, przekraczały moje ówczesne możliwości.

Dzięki zmniejszeniu przez rząd Indii kosztów zezwolenia na pobyt na interesującym mnie obszarze oraz po mojej udanej wyprawie na Thalay Sagar w 2005 roku, nadeszła dobra chwila na realizację kolejnego wyzwania.

Planowanie przebiegu wyprawy oraz przygotowania zajęły nam bardzo dużo czasu. Gdy już wszystko było gotowe: zespół skompletowany, pozwolenia odebrane, materiały wysłane, a dodatkowe zagadnienia wyjaśnione, wystartowaliśmy z Zurychu w kierunku Indii – był to 28 kwietnia 2007 roku. Po dotarciu na miejsce i odebraniu bagażu, rozpoczęliśmy naszą trwającą wiele dni podróż autobusem z Delhi (218 m

n.p.m.) przez Rishikesh (356 m n.p.m.) i Josimath (2200 m n.p.m.) do Mana (2665 m n.p.m.). Stąd, już razem z tragarzami niosącymi nasz ekwipunek, wyruszyliśmy w kierunku bazy (4350 m n.p.m.), którą założyliśmy 5-go maja. Pomimo, iż posiadaliśmy znacznie więcej informacji niż przed laty Mike Fowler, nie byliśmy pewni czy miejsce, które wybraliśmy na bazę będzie odpowiednie do planowanych działań.

Tymczasem pojawiły się przed nami zupełnie inne problemy!...

Naszą podróż odbywaliśmy w dwóch grupach. Pierwsza z nich – „kobiece bractwo liny” - w składzie Ines Papert i Anita Kolar (które chciały zmierzyć się z drogą francuską na ścianie zachodniej), i druga - nasza - w składzie Thomas Senf, Denis Burdet i ja, mającym wciąż przed oczami piękną, granitową połąć północnej ściany. Do tamtego dnia ściana ta pozostawała wciąż niezdobyta.

Już pierwszego wieczoru w bazie unosiła się atmosfera niepokoju. U Anity Kolar rozwijała się odma płucna. Jej stan pogorszył się tak mocno, że musieliśmy podać jej silne leki i podjęliśmy decyzję o sprowadzeniu jej poniżej bazy. Zapakowaliśmy ją do śpiworów i na konstrukcji własnej roboty nieśliśmy sześć długich godzin przez czarną noc w dół, by dotrzeć do (stojącego pusto o tej porze roku) posterunku wojskowego w Gastoli. Dzięki pomocy naszej ekipy filmowej (kamerzysta Christopha Frutigera i fotografa Heinza Aemmera), jak również przyjaciółki Denisa Burdeta, udało nam się tego dokonać i nie zapaść na chorobę wysokościową. W końcu byliśmy w bazie dopiero od kilku godzin i nie byliśmy jeszcze wystarczająco zaaklimatyzowani. Szybka zmiana wysokości podziałała na Anitę wprost cudownie, już następnego ranka - razem z Ines Papert - rozpoczęły zejście przez Mana do Josimath. My, po kilku godzinach snu, zaczęliśmy wracać do bazy.

Na tej jednej przygodzie jednak się nie skończyło. Kolejnego dnia, 7-go maja, cierpieliśmy wszyscy na ciężki rozstrój żołądka. Denisa dotknęło to na tyle mocno, że musiał pozostać w bazie dłużej, podczas gdy ja, wraz z Tho-

Stephan Siegrist na 5 stanowisku. Grzyby lodowe pod okapem zmusiły wspinaczy do pokonania słabo urzeźbionej płyty ponad dachem. Fot.: Denis Burdet.

masem, wybraliśmy się na pierwszy rekonesans w poszukiwaniu miejsca na wysuniętą bazę (ABC – Advanced Base Camp). Po kilku godzinach poszukiwań dotarliśmy do niewielkiej przełęczy, która poprowadziła nas do „zaginionej doliny“, skąd po raz pierwszy zobaczyliśmy Arwa Tower. Niesamowita chwila, aż zapierało dech w piersiach. U podnóża imponującej ściany północnej, powyżej lodowca – na wysokości 5300 m n.p.m., znaleźliśmy idealne miejsce na naszą bazę wysuniętą.

Gdy już przenieśliśmy, z pomocą nart i plastikowych sanek, ostatni transport z bazy do bazy wysuniętej, minął cały kolejny dzień (8-go maja). Była to niesamowicie ciężka praca, biorąc pod uwagę, że nie mieliśmy żadnych tragarzy, którzy mogliby nam pomóc. Zaraz po skończeniu tej roboty, rwaliśmy się wprost do rozpoczęcia działalności w ścianie. Długo i w szczegółach studiowaliśmy ścianę, tak by uzgodnić wszystkie szczegóły, co do stylu, technicznych możliwości i logistycznych rozwiązań, jakie musimy zastosować podczas naszej wspinaczki. Wkrótce stało się też jasne, że w dolnej części nasza droga będzie biegła wylotem skalnym, który niczym piorun przecina całą północną ścianę (droga później została ochrzczona imieniem „Lightning strike“ – piorun). Wspinaczka wypatrzonym przez nas wylotem miała dwa plusy: po pierwsze, że dawał on, o czym byliśmy przekonani, sporą ochronę przed spadającymi masami śniegu, po drugie, że była nadzieja na znalezienie dobrej do wspinania rysy.

Okazało się, że już na drugiej długości liny musieliśmy odkopywać naszą rysę spod nawianych zwalów śniegu, przy pomocy łopaty lawinowej. Bardzo czasochłonna praca, a zyskaliśmy tylko kilka metrów. Im wyżej do góry, tym rysa stawała się coraz większa, by w końcu stać się tak szeroka, że nie dało się w niej osadzić nawet największych Camalotów, jakie posiadaliśmy. Spowodowało to zmianę naszych planów i opuszczenie rysy. Dalsza droga prowadziła przez idealnie gładko „wypolerowaną“ ścianę. W naszym ekwipunku przezornie znalazły się pantofle wspinaczkowe oraz wiertarka, i to była

ta chwila, kiedy mogliśmy z nich skorzystać. Szybko przekonaliśmy się, że „faktura“ ściany, która już na zdjęciach Mika Fowlera była prawie niezauważalna, zbeczczyła nasz plan i marzenia o wspinaczce klasycznej. Wszystkie nierówności oraz cała struktura ściany były zaśnieżone i zamarznięte, także udało się nam pokonać kolejną część ściany tylko dzięki moźolnej i czasochłonnej wspinaczce hakowej. Czuliśmy się jak mrówki, które próbują wdrapać się na słonia, jak wspinające się na górę ślimaki. Wprawdzie zdawaliśmy sobie sprawę z tego, iż zdobycie północnej ściany Arwa Tower będzie bardzo wymagającym wyzwaniem, ale nawet się nam nie śniło, że już na pierwszych metrach będziemy musieli tak mocno walczyć. Udało nam się urobić tego dnia dwie długości liny (około 60-80 metrów)... Nie za dużo jak na 1000-metrową skalną ścianę!

W sanskrycie Arwa oznacza konia. Ten właśnie „koń“ nie dawał się łatwo okiełznać. Wręcz przeciwnie! Drugiego dnia naszej wspinaczki zaczął padać śnieg. Najpierw lekko i z przerwami, potem silniej i już nieprzerwanie. Na końcu czwartego dnia padało tak mocno, że rozstawienie portaledge-a wymagało od nas ogromnego wysiłku. Następnej nocy przez ścianę nieustannie przechodziły małe lawiny śnieżne, które skutecznie zasypywały nasze portaledge tak, że musieliśmy je ciągle odkopywać. Pod wpływem dodatkowego obciążenia pochodzącego od mas śniegu, szwy zaczęły powoli się pruć. Niestety również nasze stanowisko, jak na takie warunki pogodowe, nie było najsolidniejszym.

Kolejnego ranka ściana była w identycznym stanie, w jakim ją zapamiętaliśmy z poprzednich dni, całkowicie pokryta śniegiem i mocno zmrożona. Śnieg nie przestawał padać i już byliśmy pewni, że musimy porzucić nasz plan pokonania ściany w 4-ry dni. Sumaryczna długość wszystkich lin, jakie posiadaliśmy ze sobą, była równa odległości od naszego dotychczasowego stanowiska do podnóża ściany, tak więc podjęliśmy decyzję o wycofaniu się ze ściany i powrocie dopiero po poprawieniu się warun-



Stephan Sigrist znalazł dobre miejsce na wysuniętą bazę przy wielkim głazie na wys. 5300. W tle widoczna ściana spokojnie oczekująca zdobywców. Fot.: Heinz Aemmer.

ków. Po dwóch dniach w bazie, okazało się, że nasz odwrót był dobrym posunięciem. Opady śniegu były tak mocne i obfite, że trzy z rozstawionych przez nas namiotów oraz namiot - kuchnia nie wytrzymały naporu śniegu i zawaliły się. Nawet nie chcieliśmy sobie wyobrażać jakie warunki muszą panować w ścianie... W międzyczasie minął już 24 dzień maja.

Poprawa pogody przyszła dopiero 26-go maja i już dwa dni później mogliśmy wyruszyć do bazy wysuniętej. Tam chcieliśmy spędzić noc i wczesnym rankiem ponownie wejść w ścianę. Z powodu ogromnych mas świeżego śniegu nasz plan nie był jeszcze do końca pewny, wszystko miało wyjaśnić się następnego ranka. Tymczasem wieczorem Thomas dostał wysokiej gorączki i nie pozostawało nam nic innego jak powrót do bazy. To wszystko było jak zaczarowane, jak przekleństwo!...

Dla wszystkich było jasne, że jeśli chcemy mieć realną szansę na zdobycie ściany, musimy wystartować najpóźniej następnego dnia. W przeciwnym razie upłynie termin naszego

pozwolenia i nie wykorzystamy okazji na wejście na szczyt. Zagryźliśmy więc zęby i 31-go maja podeszliśmy po raz kolejny do bazy wysuniętej. Pod wieczór zaczęło mocno sypać śniegiem, a gdy w środku nocy wygramoliliśmy się z namiotów, naszym oczom ukazał się piękny widok szczytów podświetlonych pełnią księżyca. Jedynie nasza północna ściana pozostawała w cieniu księżycowej nocy...

Poranne słońce zastało nas podczas podchodzenia po poręczówkach do pozostawionych w ścianie portaledge-ów. Niestety nie poruszaliśmy się zbyt szybko naprzód. Teren był i nadal pozostał bardzo wymagający. Liczyliśmy na to, że przynajmniej wyżej będzie trochę łatwiej. W końcu, na zdjęciach od Mike'a Fowlera, widoczny był system ramp. Mając to na uwadze poruszaliśmy się szybko do góry, a po pokonaniu dwóch długości liny, na wysokości około 6000 m n.p.m., rozłożyliśmy przy ostatnich promieniach słońca nasze portaledge. Następnego ranka Denisa dotknął pech. Spadł mu na ramię kamień, na szczęście

ramiączko od plecaka na tyle skutecznie stłumiło uderzenie, że nie doszło do złamania kości. Jednakże musiał on wrócić do portaledge'a i odpoczywać do końca dnia.

Pomimo wypadku Denisa, był to nasz rekordowy dzień. Thomasowi i mnie udało się do wieczora urobić cztery (!) krótkie długości liny. Kolejnego dnia, 3-go czerwca, śnieg znów rozpadał się na dobre. Dzień przymusowej przerwy wykorzystaliśmy na wykurowanie naszych dolegliwości. Na szczęście okazało się, że ramię Denisa jest tylko zbite, a Thomas, który leczył jeszcze swoje przeziębienie, był pod wrażeniem faktu, że podzieliwszy się swoimi bakteriami ze mną, poczuł się zdecydowanie lepiej. I tak siedzieliśmy cały dzień razem, zającąc aspirynę i antybiotyki. A następnego dnia - poszliśmy dalej, odliczanie wciąż trwało!

Nasze portaledge pozostawały przez całą noc zamknięte z powodu śniegu nawiewanego

przez wiatr od dołu ściany, co w połączeniu z gotowaniem w ich wnętrzach oraz naszym oddychaniem, powodowało spadek ilości tlenu. Wszystko to działo się na wysokości ponad 6000 m n.p.m., w już odczuwalnie rozrzedzonym powietrzu. Zapalniczka, której używaliśmy do rozpalania wypływała z siebie tylko cieniutki płomynek, a utrzymanie palącej się kuchenki wymagało nie lada wysiłku. Kolejnym objawem zmniejszonej ilości tlenu w powietrzu był ból głowy, który towarzyszył każdemu z nas i kiedy budzik zadzwonił o godz. 4:30 (pobudka jak dla robotników do pracy w fabrykach), nie mogliśmy pozbyć się uczucia zmęczenia. Każdy dzień w ścianie zaczynał się od gotowania wody, podczas którego nie powinno się w miarę możliwości dotykać pokrycia namiotu, gdyż cienka warstwa lodu, która zbiera się od oddychania i ciepła oddawanego przez nasze ciała od wewnątrz namiotu, może oderwać się



i spaść niczym śnieg na wszystko, co znajduje się w namiocie. Potem zabraliśmy się za jedzenie, by w końcu dobudzić się, ubrać i już pełnym motywacji przygotować do wyjścia. W ścianie musieliśmy najpierw wymalpować do punktu, w którym skończyliśmy wczoraj, by dalej móc pokonywać kolejne długości liny w kierunku szczytu. Każdego dnia towarzyszyła nam myśl - „jutro będziemy na szczycie” – jednak to się nie udało. System ramp, który z dołu wydawał się tak łatwy, okazał się być systemem „tępych” zacięć. By osadzić kolejne punkty asekuracyjne, musieliśmy bez końca oczyszczać skałę ze śniegu, tak aby w końcu odnaleźć właściwą ryś (lub przekonać się, że nic tam nie ma). Poruszaliśmy się bardzo powoli, od punktu do punktu, a wszystko, co byliśmy w stanie uzyskać, to dwie długości liny dziennie. Szczyt był już w zasięgu ręki, a jednak tak daleko. Z każdym dniem, powoli, wyzerpywały się nam zapasy jedzenia i picia...

W końcu, 7-go czerwca, mieliśmy mieć już to za sobą. Ranek był niesamowicie zimny, a wiatr nie przestawał dąć. Poruszaliśmy się wzdłuż zacięcia, które prowadziło nas do ostatnich metrów północno-zachodniej ściany. Droga prowadziła dalej przez zachodnią grań w kierunku upragnionego szczytu. Aby się na nim znaleźć, musieliśmy jeszcze raz wykazać się umiejętnościami wspinaczkowymi i dostać na dwumetrowy blok skalny. Klasyczny buldering i to na wysokości 6350 metrów? Jednak nawet taka przeszkoda nie mogła nas powstrzymać od osiągnięcia naszego celu. Już po kilku ruchach znajdowaliśmy się na właściwym szczycie. Był to prawdziwy pik, który mógł pomieścić tylko jedną siedzącą osobę. I tak po wielu dniach nieprzerwanej koncentracji i ogromnego wysiłku fizycznego, siedzieliśmy szczęśliwi w promieniach słońca, przy bezwietrznej pogodzie, w miejscu gdzie nie da się już iść wyżej, na szczycie Arwa Tower.

O godzinie 16-tej rozpoczęliśmy zjazd na dół. Ostatnią noc spędziliśmy w portaledge'u, a przy pierwszych promieniach słońca następnego ranka, po spakowaniu się, opuściliśmy



Stephan Siegrist na szczycie Arwa Tower 6354 m.
Fot.: Denis Burdet.

nasze schronienie. Poruszaliśmy się sprawnie w kierunku podstawy ściany i wczesnym przedpołudniem osiągnęliśmy naszą bazę wysuniętą. Czas płynął, w bazie czekali już na nas tragarze, gotowi do transportu naszego sprzętu na dół. Zatem jeszcze tego samego dnia wyruszyliśmy do bazy głównej, gdzie zostaliśmy powitani promienistym uśmiechem i ogromnym tortem.

„Szczyt jest tylko połową drogi. Gdy jesteś na dole cały i zdrowy, udało ci się w pełni”.

Pięć dni później nasz samolot startował z Delhi w kierunku Szwajcarii, gdzie czekało na mnie mnóstwo pracy, związanej z przygotowaniem kolejnej wyprawy.

Arwa Tower (6352m), Garhwal Himalaya, India

Droga północną ścianą **Lightning Strike**

Pierwsi zdobywcy: Stephahn Siegrist, Thomas Senf, Denis Burdet, 31.05.2007 – 07.06.2007

Baza: 4350 m

Baza wysunięta: 5300 m

Wycena: VI M5 5.9 A3 (1000 metrów wymagającego terenu mikstowego)

Notatki: 12 dni wspinaczkowych w ścianie, styl obłędnicy

Strona internetowa: www.stephan-siegrist.ch

Thomas Senf asekuruje Stephana Siegrista na ostatnim wyciągu pierwszej połowy ściany. Zespół miał nadzieję osiągnąć łatwiejszy teren po pokonaniu płyt, ale nadzieja okazała się płonna. Fot.: Denis Burdet.



„Ale tam chyba nie ma szlaku...?”

Tekst: **Łukasz Supergan**

*“Backing off a climb is not failure.
Not surviving is failure”*

Tegoroczny obóz zimowy upłynął pod znakiem permanentnej śnieżycy i lawinowej dwójki. Aura nie rozpieszczała, a najstarsi instruktorzy stąpali na podejściach ostrożnie, jak po cienkim lodzie. Trzy dni wspinaczki na pobliskiej Buli i jeden wypad do Pięciu Stawów – nie było to, powiedzmy sobie szczerze, zbyt wiele jak na pierwszy zimowy wyjazd w PRAWDZIWE góry. Do Warszawy wracałem z niedosytem adrenaliny i ambitnymi planami na przyszłość. Ta okazała się być łaskawa i obdarowała mnie kilkoma dniami urlopu w czasie weekendu majowego. Cel był znany od dawna – Filar Miękusza, formacja piękna i wprost narzucająca się jako droga wspinaczki.

Wszystko szło jak po maśle. W pośpiesznym do Zakopanego rozłożyłem się na czterech miejscach i zapadłem w błogą drzemkę. Po kwadransie do przedziału wtarał się trzech szalikowców, którzy nic sobie nie robiąc z mojej osoby, rozpoczęli zakrapianą imprezę. Na nic zdały się moje prośby o „zamknięcie ryja” – po chwili głośne dyskusje na sąsiednich fotelach odzywały się ze zdwojoną siłą. Za moimi plecami „Wyborowa” lała się strumieniami, a chmury dymu od maryśki przypominały gęstą zupę. Tej nocy spałem może ze trzy godziny, mimo to rano stanąłem u bram parku w doskonałym nastroju. Moja pierwsza samotna tatrzańska przygoda! I od razu w jakim stylu!

Nieco przyciężki plecak zdobyły na zewnątrz dwa czekany, budzące szeptu podziwu wśród gawiedzi, jaką mijałem na drodze do Moka. Z boku przytroczyłem nowiutką, ultralekką matę samopompującą. Starannie wyselekcjonowany szpej obiecywał łatwe i przyjemne wspinanie, a komplet windstopperów, wypróbowany już podczas obozu zimowego – komfort nie z tej ziemi. Dodatkowo, doświadczenie uzyskane podczas kilku zimowych solówek na podwarszawskich bunkrach oraz świetna znajomość terenu, nabyta podczas lektury przewodnika gwarantowała, że wspinanie nie będzie wspinaniem, ale miękkim płynięciem pod górę. No dobra, może przesadzam, ale tylko odrobinę.

O jedenastej stałem już koło schroniska. Północne urwiska Miękusza pokryte były śniegiem, co stawało pod znakiem zapytania sensowność zabierania przeze mnie pantofli wspinaczkowych. Ha, trudno, będą musiały zostać w ple-

caku. Ścieżka w kierunku Czarnego Stawu była pokryta grubą warstwą puchu, co powodowało, że liczna rzesza turystów, która zdecydowała się tam dotrzeć, dokonywała cudów zręczności usiłując rąbać w śniegu stopnie za pomocą adidasów, podczas gdy ich małoletnie pociechy, siakając nosami, cierpliwie pelzły z tyłu. Popatrzyłem ponuro najpierw na nich, a potem na leżące niedaleko duże pole lawinowe. Założyłem raki i uprząż, wziąłem do ręki czekan i pomału zacząłem piąć się pod górę. Wtedy minęła mnie grupa mężczyzn. Jednego z nich wyraźnie zaintrygowało moje wyposażenie:

– A dokąd pan idzie z tym wszystkim?

– Tam - odparłem, machnąwszy niedbale styliskiem czekana ku filarowi, który wyrastał niemal nad naszymi głowami.

– Na Słowację? Ale tam chyba nie ma szlaku...?

– Ale ja idę bez szlaku. Na tamtą górę.

– A jest tam jakieś schronisko?

„O kurwa...” – pomyślałem. Nie wdając się w dalsze dyskusje podjąłem wspinaczkę i po pół godzinie znalazłem się pod Czołówką. Tam udeptałem w śniegu wąską platformę i zacząłem się szpeić.

Pierwszym problemem okazało się sklecenie stanowiska. Uparte haki nie chciały wchodzić w zalodzone szczeliny głębiej niż na centymetr lub dwa. O założeniu frienda nie było co myśleć. Po kwadransie beznadziejnego objawiania młotkiem okolicznych skał i własnych palców, zamojałem jako-takie stanowisko z dwóch płytkich haków i kostki. Zawiązałem na nim koniec liny i zacisnąłem na niej dwie taśmy, które doczepiłem do uprząży. Zarzuciłem wór na plecy i jąłem piąć się po głazach ku kominowi, przecinającemu czołówkę Miękusza.

Czy to jednak lekcje odrobione na bunkrach okazały się niewystarczające, czy może brakowało mi czegoś innego – fakt faktem, że łatwa z pozoru ścianka nie miała zamiaru puścić wyżej. Lina zaciskająca się na węzłach blokowała co chwila moje ruchy, nie potrafiłem założyć żadnego przelotu, raki chrobotyły ostrzegawczo na skale, nie znajdując oparcia. Kląć strasznie opuściłem się na śnieżną platformę na stanowisku i zdjąłem żelazo z butów. Pomogło tylko psychicznie. Cholerna lina znowu blokowała ruchy, szczeliny nie pozwalały na osadzenie naj-

drobniejszej nawet kosteczki, a połowa chwytów ruszała się zastraszającym stopniem. Nie ma rady, zrozumiałem, że w rozsądnym czasie nie uda mi się dotrzeć do początku komina, nie mówiąc już o przejściu Czołówki.

Miałem tylko jedno wyjście. Spakowałem szpej, założyłem raki i po stwierdzeniu, że pokrywa śnieżna jest zwiędła niczym beton, wszedłem do gardzieli piekieł, tj. Maszynki do Mięsa. Otaczające mnie pionowe ściany emanowały dziwną ciszą, która powodowała, że poczułem się niczym pielgrzym wchodzący do katedry. W pamięci miałem straszne opowieści o tym miejscu, które powodowały, że starałem się stąpać delikatnie i cicho niczym mysz. Warunki były idealne, a zejście lawiny zupełnie nieprawdopodobne, jednak psychika robiła swoje. Kilka minut później znalazłem się u stóp Żlebu Ratowników.

Zadowolony jałem rażno wspinać się do góry. Ciach – uderzenie ciekaniem, ciach, ciach – wybiecie rakami dwóch stopni i podciągnięcie się o pół metra. Moje ciało pracowało jak dobrze naoliwiona maszyna, bez zmęczenia szybko zdobywałem wysokość, byłem jak w euforii. Żleb okazał się jednak dość długi i straciłem sporo sił, zanim wydostałem się na wieńczące go małe siodelko. Przerzuciłem nogę na drugą stronę grani. Na prawo ziała czeluść zakończona taflą Morskiego Oka, na lewo żleb, który właśnie pokonałem. Przewodnik obiecywał od tego miejsca łatwe pola śnieżne, aż po samą kopułę szczytową, tymczasem filar, nie wiadomo dlaczego, nie zamierzał się kłaść, wręcz przeciwnie – wznosił się niepokojąco stromo ku górze. Znajdowałem się w orlim gnieździe, z którego nie było innej drogi niż pod górę. Na szczęście ostrzem filara biegło coś w rodzaju systemu wąskich rynien i niewielkich pól, które, omijając łagodnym ślalomem zerwy spadające na obie strony, wyprowadzały na łagodniejszy teren. Nachylone pod kątem czterdziestu pięciu stopni pole śnieżne zakończone było poszarpanymi skałami wieńczącymi filar, od dołu zaś ograniczały je głązy, za którymi zaczynała się niemal pionowa ściana spadająca do Małego Bandziocha. Wbijając pierwszą dziabę w śnieg na tak „zawieszonym” w powietrzu zboczu, czułem duszę na ramieniu. Szybko przekonałem się jednak, że twarda skorupa, jaka utworzyła się na ocienionych zboczach,

trzyma bardzo dobrze. Z czasem moje ruchy nabrały pewności, chwilami nawet nonszalancji. „To łatwe” – pomyślałem. Co jakiś czas rzucałem okiem ponad siebie, ale stromy teren cały czas nie chciał się wypłaszczyć.

Mniej więcej po godzinie dotarłem do pierwszego progu skalnego przegradzającego drogę. „Fantastycznie, nareszcie jakieś urozmaicenie!” – przemknęło mi przez myśl. Jednak baczniejszy rzut okiem na barierę spowodował zwątpienie. Przez pionową, a miejscami przewieszoną ścianę, prowadził na drugą stronę stromy, wąski przesmyk, wcale nie zachęcający do bliższego poznania. Obejrzałem dokładnie całą formację – innego przejścia nie było. Wąskie i płytkie wcięcie nie dawało pewnego chwytu ani palcom, ani ostrzu dziabki. Po raz kolejny tego dnia usłyszałem mrozące krew w żyłach chrobotanie o skałę nie mogących znaleźć oparcia raków. Woląłem nie patrzeć w dół – zjazd na leżące niżej śniegi mógłby źle się skończyć. Przerzuciłem ciek na plecy, jęknąwszy z bólu, gdy jego łopatka nawiązała bliski kontakt z moim zębem. Chwyciłem zębami łapawicę i zdarłem ją, po chwili czyniąc to samo z drugą. Cienkie rękawiczki dały lepsze czucie palcom, chwyciłem się więc niewielkiej krawędzi i podciągnąłem do niej. Obrzydliwy chrobot raków przybrał na sile. Oparłem ich przednie zęby na czymś w zasadzie nieistniejącym, po czym podciągnąłem się znowu. Kolejny ruch – przez nieskończenie długą chwilę balansowałem na koniuszkach zębów raków, po czym desperackim ruchem rzuciłem się w kierunku krawędzi skalnego progu. Udało się! Stęając i sapiąc podciągnąłem się i usiadłem na niej. Po namyśle doszedłem do wniosku, że wcale nie było tak trudno...

Skalna bariera odsłoniła dalszą drogę, która okazała się już do końca dnia powtarzalnym do znudzenia ciągiem bliźniaczo podobnych formacji – pola twardego niczym beton śniegu prowadziły ukośnie w górę, zgodnie z linią filara, od czasu do czasu będąc przegradzane skalnymi progami, które należało pokonać. Przed każdą taką przeszkodą zatrzymywałem się na dłuższą chwilę i spoglądałem melancholijnie w dół, pytając siebie „co ja tu, k..., robię?”. Potem kilka głębokich wdechów i bez oglądania się za siebie – aby zapobiec ewentualnemu napadowi hysterii

– wbijałem się w ścianę. Za każdym razem następował moment próby, kiedy stojąc na koniuszkach raków, starałem się wymacać jakikolwiek chwyt na palce lub ostrze czekana. I za każdym razem, nawet gdy poślizgnięcie było tuż-tuż, jakoś je powstrzymywałem.

Z trudem udawało mi się dopasować otoczenie do opisu przewodnika. Słońce już zachodziło, gdy znalazłem się w rejonie Pośredniej Turni nad Maszynką. Przede mną wyłonił się kolejny, niewysoki skalny próżek, jednak zrezygnowałem z jego pokonywania – zmęczenie zbyt mocno dawało znać o sobie, nieprzespana noc również mi nie pomogła. Na wąskiej półce, jaką tworzyło w tym miejscu ostrze grani, rozłożyłem matę i śpiwór. Kuchenki nie miałem, zadowoliłem się więc kilkoma kabanosami i czekoladą. Zauważyłem, że zapas wody skurczył się mocno – na następny dzień zostało nie więcej niż pół litra.

– Cześć, kochanie, jak żyjesz? – zapytała najlepiej z żon, kiedy do niej zadzwoniłem.

– Wszystko w porządku – odparłem – wiesz, znalazłem idealne miejsce, jest zacisznie i bezpiecznie – dodałem, sprawdzając nerwowo moje auto zarzucone wokół skalnego bloku.

Kiedy wyjeżdżałem prognozy przewidywały całkowite zachmurzenie i deszcz. Czyżbym czegoś nie zabrał? Oczywiście, płachty biwakowej. Nieważne, to pewnie dobry znak, że pogoda się utrzyma, a jeśli nawet nie, to nic na to nie poradzę. Zresztą komórka jest, a numer do TOPR-u zapisany w pamięci... No tak, ale co będzie, jeśli zapytają o ubezpieczenie? Cholera, chyba się już... ech, nieważne...

Ranek wstał piękny, choć północno-wschodnia ekspozycja filara nie dopuszczała ani promyczka słońca. Mogłem za to podziwiać wspaniałe widoki na ośnieżone szczyty dokoła i przeklinać brak aparatu fotograficznego, który dla obniżenia wagi zostawiłem w domu. Śniadanie składało się z resztek kolacji dnia poprzedniego (oszczędność ciężaru plecaka na wszystkich co zbudne). Przy wstawianiu z wyścielnego kamyczkami łóżka odniosłem dziwne wrażenie, że mata samopompująca – mój ultralekki cud techniki, prosto z USA – jest płaska jak naleśnik. Rzut oka – no tak, w nocy wyciekło powietrze. Na szczęście gruby, puchowy śpiwór izolował świetnie, dzięki czemu nawet lekko zaspałem.

Dość swobodnie przeszedłem wczorajszą, problemową ściankę. Kilkadziesiąt metrów za nią odkryłem dużą jamę skalną nakrytą okapem i osłoniętą z dwóch stron gładzami – idealne miejsce na nocleg... Nic to, mój skromny balkonik był lepszy! Strome pole śnieżne omijało od zachodu ostatnią turnię, po czym wyprowadzało na łagodną już w tym miejscu kulminację grani. Widząc to, zintensyfikowałem swoje ruchy.

„Do diabła, koniec cholernych zboczy! Teraz już tylko wskoczyć na grań i długi! Jesteśmy w domu!” – przemknęło mi przez myśl. Ciach, ciach – raki wbijały się w śnieg o konsystencji zmrożonej gliny, ciach, ciach – czekany wchodziły pewnie w twardą skorupę. Ciach, ciach, ciach, ciach – każdy krok zbliżał mnie w kierunku roziskrzonych promieniami słońca śniegów na grani. Kilka minut wysiłku i wychyliłem się zza krawędzi. Po raz pierwszy od wczorajszego poranka ujrzałem słońce, oślepiła mnie na moment powódź światła. Siedząc na już łagodnym, końcowym odcinku filara, cieszyłem się na łatwy finisz. Oglądany znad Moka Zachód Janczewskiego, w porównaniu z niższymi partiami drogi, zdawał się być szeroką autostradą, prowadzącą niechybnie na grań Mięcusza. „Alleluja i do przodu!” – pomyślałem.

Kawałek dalej filar stawał dęba przechodząc w kopułę szczytową. Ku mojemu zaskoczeniu, spodziewana droga ku grani była jeszcze bardziej wymagająca niż filar – szeroki zachód, kończący się u dołu skalnym obrywem, wypełniał w całości twardy śnieg. Wiedziałem, że przepaść pode mną to tylko złudzenie, jednak perspektywa oszukiwała zmysły. Przelatykając nerwowo ślinę wbilem czekany w zmrożoną pokrywę, po czym silnymi kopnięciami wybiłem solidne stopnie. Kierując się środkiem zachodu w bok i nieco ku górze, wykonywałem powtarzającą się sekwencję ruchów: ciach, ciach – dwie dziaby – łup, łup, łup – jeden stopień – łup, łup – drugi – i tak dalej. Szybko ocenilem, że w ten sposób nie urobę więcej niż trzy – cztery metry na minutę. Dotarcie na grań, zamiast być łatwym spacerem, stało ciężką walką – głównie z własnym strachem. Wiedziałem, że w razie poślizgnięcia na stopniu, solidnie wbite dziaby utrzymają mnie na zboczu, jednak obfitość powietrza za moimi plecami nie pozwalała na odprężenie.

Przeszedłem kilkudziesięciometrowe pole śnieżne (coś w rodzaju bardzo szerokiej ryny), zakończonej skalnym progiem. Niezwykle ostrożnie przekroczyłem przeszkodę i po jej drugiej stronie ujrzałem bliźniaczko podobne pole. Zaatakowałem je ostro, jednak w połowie zbocza zabrakło mi sił, usiłując opanować drżenie nóg wsparłem się ciężko na obu czekanach „strzepując buły” w lydkach. Do cholery, co mnie podkuśiło, żeby pakować się w to łajno? No bo ciężko to nazwać inaczej niż absurdem – wisisz między niebem a ziemią, pośrodku wielkiej zjeżdżalni, kilka małych szpikulców jest twoim jedynym oparciem, zaś ewentualny zjazd grozi szpitalem i rehabilitacją. Jest zimno, a mimo to jesteś spragniony, jak na pustyni. I po co ja to robię? „Dla przyjemności chłopcze” – wycedziłem przez zęby, odpowiadając, chyba po raz dwudziesty w tym dniu, na zadane sobie pytanie.

Kolejne śnieżne pole było nieco bardziej strome od poprzednich. Na tyle, że po raz pierwszy zdecydowałem się zrobić użytek z ciężkiej, pojedynczej liny, jaką taszczyłem cały czas na plecach. Z cienkiej łyżki i małego frienda skonstruowałem stanowisko, przewiązałem się liną, zacisnąłem pętlę i ruszyłem. Na czterdziestometrowym trawersie założyłem dwa kępskie przeloty, cała ta asekuracja miała więc znaczenie czysto psychologiczne, w dodatku przeciąganie liny przez pętlę zabierało mnóstwo czasu i sił. Potem jeszcze powrót po swoich śladach, aby zabrać plecak i zwinąć dolny stan. Podczas wybijania miękką łyżką wyskoczyła spod młotka i zniknęła za krawędzią zachodu, szybując w głąb Małego Bandziocha. Zmlełem w ustach soczystą wiązkę i ruszyłem ku górze. Doczepiona do łącznika uprząży mała klinowała się, lina ściągała mnie w dół – ten ciąg kosztował mnie więcej sił i nerwów, niż gdybym pokonywał go na żywca, w dodatku zajął mi trzy razy więcej czasu niż normalny.

Nie wiem ile czasu minęło, zanim dotarłem do końca piekielnego zachodu. W pewnym momencie zobaczyłem tylko, że skalna ściana nad moją głową zamieniła się w pogoście zbocze usiane głazami, a śnieg, po którym stąпам, staje się bardziej miękką pod wpływem docierających tu promieni słońca. Zrozumiałem, że grań musi być tuż nade mną. Podekscytowany pogałem ku górze, lawirując między kamieniami, które

w tym miejscu znacząco ułatwiały wspinaczkę. Około szesnastej wydostałem się na grań Mięgoszowieckiego Szczytu, w połowie odległości z wierzchołka na Hińczową Przełęcz.

Moim oczom ukazał się zupełnie inny krajobraz. Łagodnie nachylone zbocza słowackiej strony były niemal całkowicie suche, jedynie w niektórych żłebach zalegały niewielkie ilości śniegu, topniejące w upalnym słońcu. Siedząc na czymś w rodzaju skalnego krzesła, mogłem rozkoszować się ciepłem oraz wspaniałymi widokami na Dolinę Mięgoszowiecką. Pragnienie jednak nie dawało o sobie zapomnieć – rzuciłem tylko okiem na wierzchołek Mięgosza, po czym zszedłem wąskim żłebkiem na stronę słowacką. Minęło około godziny, zanim trawersując płaty twardego śniegu, kłucząc między skałami i szukając wody, znalazłem się na Hińczowej.

Słowacka strona przełęczy była łagodną ścieżką wśród kamieni. Polska – była zwałowiskiem zbitego śniegu. Zszedłem kilkanaście metrów żłebem, po czym stanąłem na wyrąbanych stopniach, aby schować raki. Usiadłem na tyłku, ścisnąłem pod pachą czekana i rozpocząłem zjazd. Twarda pokrywa szybko nadała mi rozpędu.

- O kurwa! – ryknąłem, gdy moja kość ogonowa wbiła się w bryłę lodu wystającą na dwa centymetry ze śniegu. Przewróciłem się na bok i z całej siły naparłem na łopatkę czekana, wyhamowując zjazd. Z trudem złapałem oddech, po czym spojrzałem w dół. Śnieg leżący w żłebie pełen był wystających brył i kamieni. Innej drogi nie było. Zacząłem ponownie zjeżdżać, tym razem dwa razy wolniej i ostrożniej, zaciskając zęby i starając się ułożyć na śniegu tak, by wszechobecne muldy jak najmniej raziły mnie w delikatne części ciała. Co kilkadziesiąt metrów zatrzymywałem się, nie mogąc dłużej wytrzymać, kładłem się na brzuch lub na bok, ściskając głowicę czekana i odpoczywałem. W ten oto groteskowy sposób, wierząc się na wszystkie strony i przystając co kilkanaście sekund, sunąłem pomału w dół żłebu. Co do diabła? Czym sobie zawiniłem, że los wepchnął mnie w takie bagno? To miała być łatwa wspinaczka i powrót do domu w glorii zdobywcy – czemu muszę walczyć jeszcze na samym finiszu mojej drogi? Słońce zachodziło pomału nad sąsiednimi szczytami, a ja beznadziejnie wolno zbliżałem się ku Galerii

Cubryńskiej. Nie czułem nic, poza wielką kulą ognia w dupie. W końcu teren złagodniał, a ja mogłem przyjąć pozycję bardziej odpowiadającą naturze naszego gatunku.

Wolnym krokiem, brodząc w płytkim śniegu, poczłapałem w stronę Mnichowego Żlebu. W tym momencie w kłapie plecaka zadzwonił telefon.

– Tak, słucham?

– Dzień dobry, panie Łukaszu! Agencja reklamowa się kłania! Pamięta pan o naszej umowie? Będą chłopcy do umycia tego banera?

„Jakiego banera, do ciężkiej...” – chciałem odpowiedzieć przez chwilę, po czym się zreflektowałem. Już wiedziałem z kim rozmawiam. To **BARDZO WAŻNY KONTRAHENT**. Dyplomatycznie odchrząknąłem.

– Rozmawiałem z kolegą i powiedział, że nie ma żadnego problemu. Jestem, wie pani, w górach, za chwileczkę będę na dole, to się upewnię. Oczywiście. Jak najbardziej. Nie ma żadnego problemu. Do widzenia – z wściekłością wcisnąłem czerwony klawisz i przez chwilę zastanawiałem się, co znowu poszło nie tak. Nic nie przyszło mi do głowy, kontynuowałem więc zejście. Po kwadransie schodziłem już przez niebezpieczny, zalodzony próg, do Mnichowego Żlebu.

Wnętrze żlebu było ciasne i ciemne. Pierwszych kilkadziesiąt metrów schodziłem, krok za krokiem wybijając stopnie. Gdy wydawało się, że teren zaczyna się kłaść, schowałem jeden czekan i hamując drugim, rozpocząłem kilkusetmetrowy zjazd. Co czułem obijając sobie plecy na wystających wszędzie, potężnych, lodowych bryłach – tego nie da się opisać. Z zaciśniętymi zębami pokonywałem krótki odcinek żlebu, po czym wspierając się z całej siły na ostrzu dziaby, przekręcałem się dysząc ciężko na brzuch. Następnie, z jękiem zwałowałem się na drugi bok i kontynuowałem zjazd. Od czasu do czasu, wsparty na czekanie, kłękałem na kolana, by dać ulgę plecom i biodrom. W żółtym tempie, posuwając się krótkimi zjazdami, dotarłem do końca tej piekielnej podróży, lądując pośrodku rozległych pól podmnichowych, w odległości jakichś piętnastu minut od szlaku prowadzącego do schroniska.

Nie miałem sił, by ustać na nogach, więc po zrobieniu kilku kroków zwałem się na śnieg. Wyszarpnąłem spod siebie plecak i drżącymi rękami wetknąłem do ust ostatni kawałek cze-

kolady, popijając lodowatą wodą. Moje ciało od barków do kolan było ogniskiem bólu. Leżałem przez kilka minut wpatrując się w szarzące niebo, po czy zerknąłem przed siebie. Aby wejść na szlak, należało wdrapać się na łagodne zbocze, co wydawało mi się kompletnie ponad moje siły. W tym momencie, gdzieś w czaszce błysnęła mi genialna myśl – to przecież tędy prowadził nas zimą Baron, pokazując zimową ścieżkę pod Mnicha! Jest jeszcze masa śniegu, więc kawałek stąd powinno być łatwe zejście do Moka!

Poczułem nagły przypływ sił – jeszcze jeden zjazd, najwyżej kilka kroków i będę na miejscu! Pozostawiając pobliski szlak, zacząłem pomału wlec się w kierunku, gdzie – jak mi się zdawało – zaledwie dwa miesiące temu przekopywaliśmy zasy z instruktorem Skłodowskim. Nie było żadnych śladów, jednak otwierający się przede mną przesmyk pomiędzy zaroślami kosodrzewiny, upewnił mnie co do słuszności tej drogi.

Niestety, chwilę później stanąłem przed zwartą ścianą konarów. Zamiast jednak wrócić na ścieżkę, która cały czas była w zasięgu mojego wzroku, zacząłem kluczyć w zaroślach. Nie było przejścia. Do moich uszu dotarł szmer pobliskiego strumienia, skierowałem się więc w jego stronę – może da się zejść wzdłuż niego? Stanąłem nad brzegiem rwącego potoku. Odległość od ledwie już widocznego stawu nie wydawała się duża, czemu więc nie zaryzykować? W tym momencie płat śniegu, na którym stałem, urwał się, a ja poszybowałem wraz z nim prosto w nurt czarnej wody.

Płytką skalną misa do jakiej zjechałem zatrzymała mnie kilka metrów niżej, a wszechobecna kosówka pomogła zachować równowagę. Wstrząśnięty tak nagłą zmianą otoczenia stałem pod gigantycznym prysznice, po pół tydki w wodzie, w ogłuszającym szumie potoku. Moja pierwsza myśl – „Chryste, wpadłem! Już stąd nie wyjdę!”. Druga – „Trzeba dzwonić po śmigło! Tylko po co? Zanim po mnie przyłecą, będę już soplem lodu!”. Trzecia – najbardziej konstruktywna: „Trzeba wiać!”. Tylko jak?

Nade mną wznosił się kilkumetrowy skalny próg, porośnięty mokrymi mchami. Zwisające konary zasłaniały jakiegolwiek chwytu, nie miałem co myśleć o wspinaczce, zwłaszcza po ciemku i zmęczony długimi zjazdami. Mogłem tylko

zejść korytem strumienia do stawu. Odpiąłem od plecaka jeden czekan i zahaczyłem go mocno o krawędź misy, na której stałem. Trzymając go jedną ręką, drugą zaś czepiając się kosodrzewiny, zszedłem na niższy próżek strumienia. Wszelchobecna wilgoć czyniła zejście ekwilibrystyką, śliskie chwytły wymykały się spod palców, a nogi zjeżdżały ze stopni pokrytych ohydnyymi glonami. Gdy tylko wychodziłem na moment z wody, próbując iść brzegiem, zapadałem się w głęboki śnieg lub zaplątywałem w gąszcz karłowatych sosen.

Do pokonania miałem kilkanaście skalnych progów. Z niektórych udawało mi się zejść, mimo iż rozbrzygująca się wokół woda uniemożliwiała bezpieczną asekurację i ograniczała widoczność. Inne omijałem idąc krawędzią koryta i czepiając się kosodrzewiny. Każdy z nich był wysoki na kilka metrów, jednak głęboka ciemność nie pozwalała na ocenę odległości.

Opuszczając się z jednego z takich progów usłyszałem nagle łomot – kamień, na którym stanąłem wyskoczył i wpadł do strumienia dwa metry niżej. Uchwyciłem się niewielkiego występu skalnego na wysokości mojej twarzy, i z przerażeniem zauważyłem, jak ten odkleja się powoli od skały. To było niesamowite – ten ułamek sekundy trwał długo – niczym na zwolnionym filmie, ja zaś obserwowałem, jak mój jedyny punkt zaczepienia z głębokim młasnieniem poddaje się prawu grawitacji. Przez niemierzalnie krótką chwilę wisiałem w powietrzu rozcapierzony niczym pajak, po czym runąłem w mokrą kipieli podę mną.

Cały czas dzierząc w dłoni kamień odwróciłem się plecami do ściany, po czym spadłem na równe nogi do wielkiej wanny pełnej wody trzy metry niżej. Kawalek skały poszybował razem z mną. Usłyszałem tylko ciężki chrzęst, gdy stuknął w czubek mojego kasku, po czym zsunął się po powierzchni skorupy i plusnął do wody obok mnie. Był, na oko, wielkości pięciolitrowego garnka i gdyby nie ochrona głowy, pozbawiłby mnie zapewne kilku kłaków, a kto wie, czy i nie kawałka skalpu.

Gdy tylko fala adrenaliny minęła, wymamrotałem kilka przekleństw i ruszyłem dalej. Musiałem przebić się przez gąszcz kosówki, za którym odkryłem, ku swojemu zdumieniu, kilkunastometrowy uskoki. Nie ma rady, trzeba zało-

żyć zjazd. Wydobyłem linę i owinałem ją wokół kilku konarów. Wpiąłem przyrząd i wychyliłem się za krawędź. Początkowo zjazd przebiegał bezproblemowo, później elastyczna lina zaczęła sprężynować i obijać mnie o skałę. Nie miałem jak zapanować nad tymi szarpnięciami, kurczowo trzymałem tylko linę, zjeżdżając ku łatwiejszemu terenowi. Na dwa metry przed półką, na której zamierzałem wylądować, lina skończyła się, musiałem więc wypiąć się i pokombinować z zejściem.

Stojąc już w bezpiecznym miejscu rozwiązałem węzeł na linie i pociągnąłem jej końcówkę do siebie. Ani drgnęła. Wściekły uwiesiłem się na niej całym ciężarem – bez rezultatu. Próbo- wałem zmienić kierunek ściągnięcia, machałem nią desperacko, aż w końcu dałem sobie spokój. Nie miałem siły wracać – zostawiłem linę leżącą w wodzie, po czym pokonałem dwa ostatnie, nieduże progi, za którymi odnalazłem szlak. Padłem na czworaka na mały płat śniegu przy ścieżce, a po chwili położyłem się z zamkniętymi oczami. Było ciemno i cicho, słyszałem tylko swój chrapliwy oddech. Jakaś odległa część umysłu podpowiadała mi, śmiejąc się złośliwie, że zamiast dwugodzinnego zejścia w lodowatej wodzie, mogłem zdobyć się na wysiłek podejścia na szlak i już od półtorej godziny być w schronisku, suchy i zadowolony. Prawda, trzeba jeszcze dotrzeć do schroniska...

Z czekaniem w dłoni, zataczając się niczym pijany, zacząłem pełznąć wzdłuż brzegu. Niekiedy natrafiałem na krótkie zejście, pokryte śniegiem. W innej sytuacji pokonałbym je dwoma szybkimi skokami. Tu jednak siadałem i zjeżdżałem dwa nędzne metry na tyłku. Światła schroniska przybliżyły się rozpaczyliwie wolno i chwilami miałem wrażenie, że nigdy nie uda mi się ich osiągnąć. Jednak w pewnym momencie śnieg skończył się i ujrzałem schody nad brzegiem.

Pani Maria nie zadawała zbyt wielu pytań. Widząc skrajnie wyczerpanego faceta ociekającego wodą i ściskającego kask pod pachą, zapytała tylko, czy wpisywałem się do księgi wyjść. Dziwny ruch jaki wykonałem głową mógł być zarówno potwierdzeniem, jak i zaprzeczeniem. Zjadłem pierwszy ciepły posiłek od dwóch dni, po czym powędrowałem do starego schronu. Gdy się tam wtoczyłem, jakiś chłopak zaczął ochrzaniać mnie

za to, że narobiłem hałasu, jednak przyjrawszy się mojej twarzy, bez słowa nalał mi kieliszek koniaku, który duszkiem wychyliłem. Tej nocy spałem już bezpiecznie.

Gdy myślę teraz o tamtej wspinaczce, chcę ją jakoś podsumować. Kiedy ktoś zapytał mnie po powrocie, czy wspinaczka się udała, bez wahania odpowiedziałem „Tak!”. No cóż, mimo przeszkód udało się osiągnąć cel (choć nie wierzchołek) i bezpiecznie zejść w dolinę. Styl, w jakim udało się to osiągnąć, pozostawia wiele do życzenia. Podobnie zresztą jak bezpieczeństwo moich poczynąń. Cały czas mam jednak w głowie powiedzenie, że jeździmy w góry także po to, by przesuwać granice tego, co osobiście uważamy za możliwe. Patrząc na tamtą drogę na Filarze wiem, że była ona z jednej strony świadectwem odwagi, na jaką nigdy przedtem się nie zdobyłem, z drugiej zaś – ludzkiej głupoty, która przetrwa nas wszystkich.



Realizujemy nietypowe zachcianki sprzętowe, mamy ogromny wybór butów wspinaczkowych, oferujemy sprzęt **Black Diamonda**, **Petzla**, **Beala**, **Campa**.

U nas kupisz: **spectre ice piton**, **squida**, **cyborgi**, **tricamy**, **camaloty**, **quicfixa**, **sondy lawinowe**, **climbon**, **SnowClaw**, a nawet magnezję... w płynie.

No i różne ciuszki...

Zapraszamy

Joanna i Zbyszek Kłoskiewicz

Sklep Adventure - Hala Sportowa KOŁO
Obozowa 60, 01-416 Warszawa
tel: 22 877 33 70
e mail: kolo@adventureshop.pl

Godziny otwarcia:
pon. - pt 11.00 - 21.00; sob. - niedz. 10.00 - 18.00





Pierwsza nasuwająca się uwaga to ta, że ze wspinaniem tradycyjnym nie jest tak źle, a ilość wspinaczek na Kazalnicy jest jednak kwestią odpowiednio dobrych warunków. Przyszło suche (powiedzmy „suchsze”) lato i okazało się, że Kazalnica przeżywała, nawet jeśli nie obłęzenie, to okres wzmożonego zainteresowania. Łatwiejsze wspinaczki, takie jak Warianty, Schody czy Malczykówka uzyskały spora liczbę powtórzeń, ale i trudniejsze standardy jak Epitafium, Kant Filara i Symfonia miały w tym sezonie także po kilka przejść. Powtórzono Zaczadzony Umysł, a Robert Grzanka skompletował w tym jednym sezonie „Wielki tryptyk” w postaci Epitafium, Pająków i Symfonii Klasycznej – osiągnięcie, którym niewiele może się pochwalić. Szczególnie przejście Pająków (z Mirkiem Koprowskim) zawsze warto powinno być osobnego odnotowania.

Najważniejszym wydarzeniem tego lata było oczywiście odhaczenie Wish You Were Here, zimowego ekstrema, dokonane w pierwszych dniach sierpnia przez dwóch starych, tatrzańskich wyjadaczy: Jacka Zaczkowskiego i Jacka Kantykę. Prace przy czyszczeniu, szczególnie dolnej części, trwały wiele dni – pogratulować kolegom sprzęż! Dało się słyszeć wywołujące obawy odgłosy osadzania spitów, co prowokowało pełne niepokoju pytania o styl przejścia. A jednak Jackowie zdołali zachować klasę drogi narzucając sobie ostre wymogi stylowe. Spity osadzili tylko na sześciu stanowiskach, bo przeszli drogę siedmioma wciągami. Maksymalne trudności osiągnęły VIII+ przy ryzykowej asekuracji, a Jackowie polecają raczej górną część drogi, jako że dolna jest jednak krucha i zarośnięta. Nie sądzę, aby droga kiedykolwiek stała się popularna latem (bo to i duże trudności, i słaba asekuracja, a i trochę kruszynny), jednak jej odhaczenie, przy zachowaniu ogromnej części trudności psychicznych, należy ocenić bardzo wysoko.

Działalność sportowa, a może raczej śrubowanie trudności na drogach ubezpieczonych, odbywało się oczywiście na Mnichu. Nie będę się na ten temat zbyt rozwódził – załączony wykaz najważniejszych przejść mówi sam za siebie. Odnotować należy jedynie działalność najaktywniejszego w tym sezonie Marcina Gąsienicy-Kotelnickiego, który przeszedł aż 4 dro-

fot. G. Głazek
 Master Topo
 oprac. A. Paszczak

ZAMARŁA TURNIA
 PRACE AKCJI TBM LATO 2007



- spit przelotowy
- ▲ stanowisko z jednego spita ("kursowe")
- stanowisko z dwóch spitów i łańcucha
- stanowisko z dwóch spitów



A. Paszczak na Wschodnim Szczycie. W tle kopuły szczytowe Rumanowego i Ganku.

gi o trudnościach powyżej IX, w tym słynnego Sadusia.

Za sprawą akcji „Tatry Bez Młotka” powstał szereg nowych dróg, ale o tym także w zestawieniu.

Kuba Rozbicki natomiast przeszedł na żywcą Międzygimnazjum w 12 min, ale było to tylko wstępem do naprawdę śmiałych żywców na Hali. Najważniejszym było Lobby Instruktorskie VII, i jest to najtrudniejszy żywiec w Tatrach Polskich. Poprzeczka została wysoko ustawiona, ale w najmniejszym stopniu nie namawiam nikogo do jej podnoszenia. Niech sobie leży w spokoju tam, gdzie ją Kuba ustawił.

Warto wspomnieć, że coraz większa grupa Polaków wspina się na Słowacji. Wiadomości o konkretnych przejściach są jednak zbyt fragmentaryczne, aby można było pokusić się o jakieś zestawienie. Rzuca się jednak w oczy obecność naszych zespołów we wszystkich praktycznie zakątkach Tatr Słowackich, od doliny Białej Wody poczynając na Kieżmarskiej kończąc.

Podsumowując – to był dość dobry sezon. Zaznacza się coraz wyższy poziom sportowy, ale także poszerzenie grupy wspinaczy spokojnie

pokonujących trudności siódmkowe w terenie tradycyjnym. Nie ma zatem co narzekać, wypada tylko życzyć sobie aby ten trend się utrzymywał w dalszym ciągu.

Wykaz ciekawszych przejść

Nowe drogi na Mnichu – Akcja TBM

1. *Aleja Potępienia, IX+*

Otwarta 24 czerwca przez Andrzeja Marcisza i Piotra Korczaka (Droga dedykowana jest „honorowemu alpinistom” Bronisławowi Wildsteinowi, za to, że pozostał wierny ideałom swego zamordowanego przez SB przyjaciela St. Pyjasa)

2. *Folwark Montano VIII*

14 lipca, Piotr Korczak, Andrzej Marcisz i Artur Paszczak

3. *Rokokowa Kokota, IX+*

15 sierpnia, Piotr Korczak i Andrzej Marcisz i Tomasz Opozda (jedna z najtrudniejszych propozycji na ścianie)

4. *Floreściska z Hotelu Adalbert, VIII-*

15 sierpnia, Marcin Chrzanowski, Piotr Kor-

czak, Andrzej Marcisz, Tomasz Opozda, Darek Zadarnowski

5. *Nos Mnicha, ok. IX*

Pierwsze przejście 26 lipca, Andrzej Marcisz i Tomasz Opozda, asekuracja własna.

Nowe kombinacje

Mnich

Lewe Kombinacje

Piotr Korczak i Darek Zadarnowski wytyczyli linię łączącą łatwiejszą część Luftwaffe z nieco zapomnianą, acz niesłusznie, drogą braci Głazków Całkiem na Lewo. Lipiec.

Ciekawe powtórzenia

1. *Saduś IX*

Marcin Gąsienica-Kotelnicki i Michał Król, RP, 17 czerwca

2. *Metalika IX+*

Marcin Gąsienica-Kotelnicki i Michał Król, 1 lipca, RP

3. *Wariant R, IX+*

Marcin Gąsienica-Kotelnicki i Michał Król, 8 lipca, RP

4. *Rokokowa Kokota*

Marcin Gąsienica-Kotelnicki z Mirkiem Woźniakiem

5. *2+I VIII*

OS, Andrzej Marcisz i Michał Brożyna

6. *Luftwaffe VIII+*

Jurek Gurba, Jacek Jurkowski, RP

7. *Preludium VIII*

Jurek Gurba, Jacek Jurkowski, RP

8. *Porfawora VIII*

Jurek Gurba, Jacek Jurkowski, OS

9. *Epitaftium VII*

Robert Grzanka + tow.

10. *Pajaki VII*

Robert Grzanka i Mirek Koprowski

11. *Symfonia Klasyczna*

Robert Grzanka + tow.

12. *Zaczadzony Umysł VII*

Paweł Kopta i Monika Niedbalska, OS

Pierwsze przejścia klasyczne.

Wish You Were Here VIII+

Jacek Zaczkowski i Jacek Kantyka, RP, sierpień.



ONSIGHT

Centrum Wspinaczkowe

Hala Sportowa Keio
Warszawa, ul. Obózowa 60

zapraszamy codziennie od 10⁰⁰ do 22⁰⁰

dojazd z Centrum tramwajami: 1, 12, 13, 20, 23, 24
przystanek: Magistracka

Wschodni Szczyt Żelaznych Wrót, 2340m

Opracowanie Artur Paszczak

Niewielki ten szczycik przycupnięty w odległym zakątku doliny Złomisk zapewne nikogo by zbyt nie zainteresował, gdyby nie jego wspaniałe płyty opadające groźnym uskokiem na Wschodnie Żelazne Wrota, stanowiące nb. dogodną komunikację przez grań główną do Doliny Białej Wody. Choć wielkość płyt jest niewielka (w pionie liczy sobie od 70 do ok. 100m) to jednak ich uroda i wspinaczkowa trudność przyciągają wspinaczy od dawna. I słusznie, bo na Wschodni Szczyt wybrać się warto. Podejście od parkingu zajmuje ok. 3-4 godziny (szczególnie, że na trasie podejścia kusi wyczap piwa), zejście ok. 2, tak więc jest to jedna z dłuższych wycieczek,



Staszek na szczycie. Fot.: Artur Paszczak.



Kant Tillego. Fot.: Artur Paszczak.

ale dzikość i pustka miejsca, wspaniałe otoczenie i jakość wspinaczek wynagrodzą ten trud z nawiązką. Jest to miejsce dość wietrzne, nawet w pogodne dni wieje tam wiatr, toteż warto zadbać o windstopper i czapeczkę, bo zmarznąć tam łatwo - pamiętajmy, że podstawa ściany leży powyżej dwóch tysięcy metrów! Na podejściu często leży śnieg, ale uważać na niego trzeba raczej w zejściu. Głazy (i głazki) leżące pod ścianą są za to bardzo niestabilne, uważajmy więc, aby nie sobie nie rzucić na głowę.

Wspinaczki na Wschodnim Szczycie, pomimo niewielkiej długości, noszą zdecydowanie górski charakter. Stałych haków jest niewiele (znaczna ich część usunięto w trakcie słowackiej akcji oczyszczania ścian) i należy zadbać o własne, niekiedy nawet na stanowiskach. Wszystkie drogi kończą się na szczycie, z którego rozpościera się jeden z najpiękniejszych tatrzańskich widoków – na mur Żłobistego, Rumanowego i Ganku z jednej strony, a Gerlacha, Zmarzłego, Kaczego

Wsch. Szczyt Żelaznych Wrót
 ściana pd-zach.
 fot. i oprac. A. Paszczak



Drogi w środkowej części pd-zach. ściany: 4. Kyvala-Zeitler VI A2, 5. Jackovic-Belica-Skokan VII-, 6. Hauschke V A0, 7. Motyka VI-, 8. Droga na pamiątkę L. Gibasa V+ A1, 9. Droga Barona VI (?), 10. Zacięcie III-IV, 11. Grósz II, 12. Krissak-Orolin V A2.

i Bątyżowieckiego z drugiej. Naprawdę – warto to zobaczyć. Ewakuacja ze szczytu odbywa się albo wschodnią granią, albo – wygodniej – dwoma zjazdami przez zachodni uskók, ze stanowiska mieszczącego się na platformie tuż pod zachodnim skrajem wierzchołka. Za jednym razem można bez problemu pokonać dwie drogi, szczególnie jeśli celem są płyty. Bardzo zachęcam Was do odwiedzenia tej ściany, szczególnie polecam piękną drogę *Motyki* (czy w ogóle są brzydkie drogi *Motyki*?), estetyczny *Kant Tillego* no i oczywiście *Blade Runner*!

1. **Kant Tillego, VII-**, 1.5h
 K.Tille, K.Złatník, 30.7.1948.
 Bardzo ładne, w trudnościach techniczne wspinanie w litej skale (nieco krucho na samym dole). Trudności łatwo jest obejść od prawej terenem V+/VI.
2. **Blade Runner, VII**, 1.5h
 A.Paszczak, S.Piecuch, 19.08.2007
 Dwa solidne wyciągi w przepięknej skale. Testowe miejsce na starcie, potem tylko VI – za to bardzo techniczne i „na kombinowanie”. Asekuracja dobra, ale nie z rodza-

- ju ewidentnych. Zdecydowanie przydatne cienkie haki (w tym *knife blades*, czyli najfy), i stąd też wzięła się nazwa („runner” to po angielsku także „przelot”, no a poza tym ten przepiękny film...). Pomimo niewielkiej długości droga warta odwiedzin, bo wspinanie jest „od gwizdka do gwizdka” i czuje się je naprawdę górsko.
3. **Michalko – Tatarka, V/A0-A1**, 2.5h
J.Michalko, V.Tatarka 14.8.1985
Droga biegnąca skosem przez ścianę, nieco zawikłana ale maksymalizująca długość płyt.
 4. **Kývala-Zeitler, VI/A2**, 2.5h
J.Kývala, J.Zeitler, 7.6.1968
J.Đurov, M.Kriššák, 5.9.1970 – wariant wprost do Białego Wyłomu
Nieco niejasny jest start tej drogi – trudno ocenić, gdzie autorzy napotkali tam teren III. Być może rysowanie nie pokrywa się całkowicie z linią drogi, ale dotyczy to tylko początku, i to też w niewielkim chyba zakresie.
 5. **Jackovič-Belicza-Skokan, VII-**, 3h
P.Jackovič, P.Belicza, J.Skokan, 12.9.1999
Droga biegnie litym terenem pozbawionym ewidentnych formacji. Pomimo osadzenia w kluczowym miejscu spita należy się raczej spodziewać trudności z asekuracją.
 6. **Droga Hauschkego, V/A0**, 2.5h.
K.Hauschke, A.Reimer, M. Doubek, 17.8.1962
Przebieg przybliżony.
 7. **Droga Motyki, VI**, 2.5h.
S.Motyka, K.Mrózek, 21.8.1935
Pomimo pokonania tej drogi dosyć niedawno temu miałem problem z umiejscowieniem jej przebiegu w środkowej części, mam jednak nadzieję, że trawersy rysowałem z grubsza poprawnie. W każdym razie po prawidłowym wejściu w drugi wyciąg droga jest dość ewidentna. Pomimo wyceny V

Motyka. Adam w zupełnej ekspozycji.
Fot.: Artur Paszczak.



Motyka. Trudności przerażają. Fot.: Artur Paszczak.

figurującej na stronach słowackich, moje odczucie oscylowało raczej w granicach VI (początek drugiego wyciągu). Warto pamiętać, że droga oryginalnie pokonana była z dwukrotnym A0, a Motyka piątki raczej robił... W każdym razie droga jest autentycznie ładna, skała lita a całość wycieczki to prawdziwa górską wyprawa.

8. **Droga na pamiątkę L.Gibasa, V+/A1**, 4h.
J.Kulhavý, P.Mikuš, 26.6.1977.
Przebieg hipotetyczny, na podstawie porównania schematu z terenem.
9. **Droga Barona (V-VI)**, 2.5h.
M.Baron, J.Holý, 23.7.1937
Podobnie jak wyżej. Trudno mi się domyślić, gdzie wśród tych okrutnych okapów znajduje się teren VI? Wygląda to raczej na masywną hakówkę, a i pętle wiszące w dachu sugerowałyby taką opcję. Nie dowiemy się, póki ktoś nie przejdzie.
10. **Zacięcie, III-IV**, 1h.
I.Gálfy, S.Samuhel, P.Vavro, 23.10.1962
11. **Droga Grósz, II**, 1/2h,
A.Grósz, L.Rokfalusy, 12.8.1911
12. **Kriššák-Orolín, V/A2**, 2h.
J. i M.Kriššák, M.Orolín, J.Botka, 21.9.1970

Motyka, drugi wyciąg, miejsce VI. Fot.: Alicja Paszczak.



Blade Runner. Po przejściu drogi Artur Paszczak osadza stałego haka w trudnościach dla ułatwienia powtarzającym.



Wschodni Szczyt Żelaznych Wrót

topo: A. Paszczak

fot: St. Piecuch.



Drogi na płytach ściany zachodniej: 1. Kant Tillego, VII-, 2. Blade Runner VII, 3. Michalko-Tatarka V A0 4. Kyvala Zeitler VI A2

Droga Kyvala-Zeitler na zachodniej ścianie Małej Szarpanej Turni, 2327m

Opracowanie Artur Paszczak

A/ZERO POLECA

1 przejście:

Kyvala - Zeitler V+/A3, 5h, 09.06.1968.

trudności klasyczne: VI+/VII-

1 przejście klasyczne – nie ustalone, chodzone od lat 80-tych. Jako pierwszy z Polaków pokonał ją klasycznie prawdopodobnie Piotr Korczak i Piotr Sztaba ok. 1995.

Istnieje logiczny wariant obejściowy drugiego wyciągu, płytą i zacięciem po prawej, o trudnościach ok. VI -. Autorzy: I.Jakubcová, V.Jakubec, 28.6.1987

Podejście:

Z parkingu do schroniska przy Popradskim Stawie ok. 40 min asfaltową drogą. Następnie ścieżką w kierunku przełęczy po Osterwę, którą opuszczamy zaraz po przejściu kładki wchodząc w lewo na wąską ścieżkę. Ścieżką wzdłuż potoku Dolną Złomisk na Złomiską Równię (1h), skąd w lewo do góry i przed progiem Dolinki Rumanowej (widac już wyraźnie płyty Małej Szarpanej Turni) w lewo na ogromne piargi, czy raczej blokowisko. Jego prawym ograniczeniem pod ścianę – łącznie ok. 2.5-3 godziny od parkingu.

Opis drogi:

Droga Kyvali i Zeitlera należy do najpiękniejszych dróg tatrzańskich, ze względu na fantastyczną wprost jakość skały i wyrównane trudności na całej długości wspinaczki. Jest rzadko odwiedzana, ponieważ leży niejako w cieniu rozreklamowanych i - zasłużenie zresztą - popularnych wspinaczek na ścianie południowo-zachodniej, takich jak *Puskas*, *Plsek* czy *Magickie Oko*. A jednak *Kyvala* w niczym im nie ustępuje, a być może nawet przewyższa, gdyż oferuje trudne i naprawdę unikalne wspinanie na wszystkich trzech wyciągach wspinaczki.

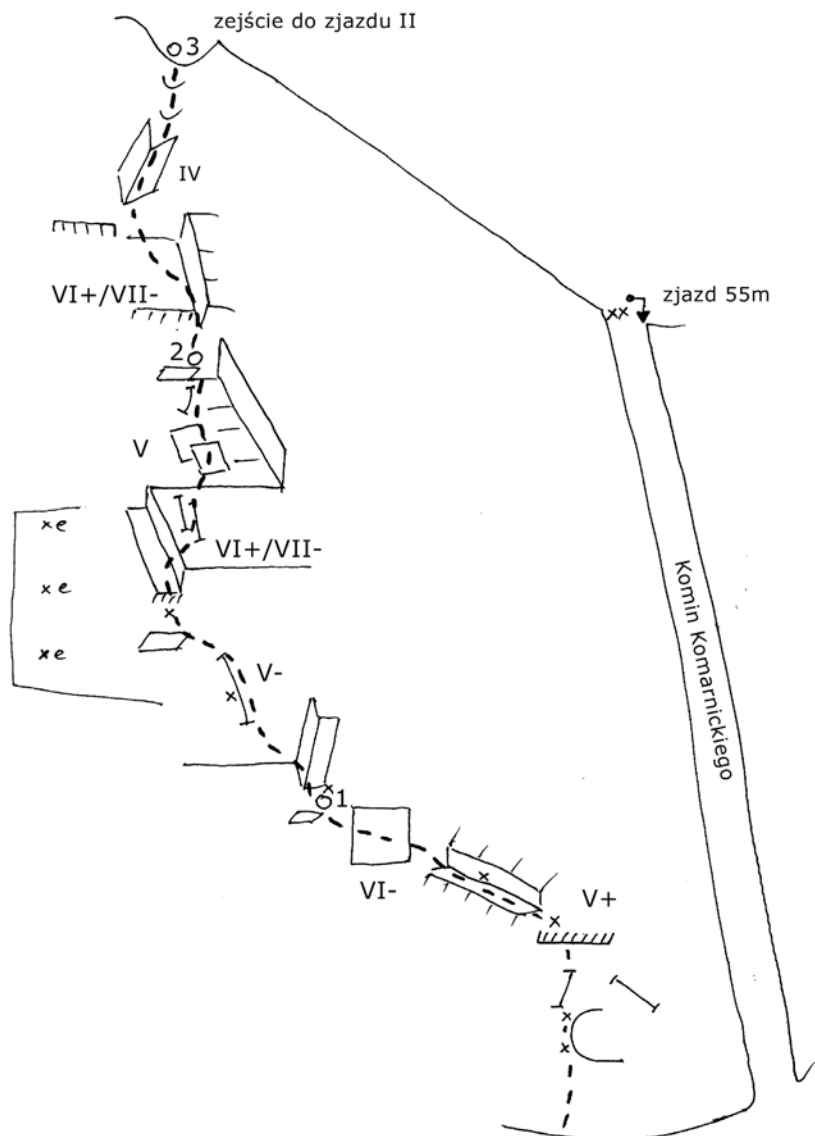
Drogę rozpoczyna czupurna płyta i rysa, następnie po pokonaniu zwiniętego okapiku dostajemy się do biegnącej w lewo skos w górę litej załupy, która zanika w skrzęsanej płycie. Buń-

czuczny trawers w lewo (całkowity brak chwytów i stopni – VI-) pozwala dostać się do stanowiska pod pionowym zacięciem. Nie wchodząc w owo zacięcie, śmiałym okroczeniem w lewo na płytę, poczym łatwo lecz pięknie w lewo skos pod płytę zaryglowaną kolejnym okapikiem. Pokonawszy barierę, w prawo na płytę do rysy (VI+) poczym łatwiej, niesfornymi ryskami na platformę stanowiskową pod płytą z zacięciem i filarkiem. Wprost w górę (niewygodnie, VI+) poczym odważnie (ale bez brawury) w lewo na ciosaną płytę i do zacięcia, którym 20m na nieodległy już wierzchołek. Gwoli ścisłości – to jeszcze nie wierzchołek, a szczyt owej wielkiej, pochyłej płyty widocznej z dołu.



Adam prowadzi pierwszy wyciąg na Małej Szarpanej Turni. Fot.: Artur Paszczak.

Mała Szarpana Turnia, ściana zach.
Kyvala-Zeitler
VII-, 2h





Powrót:

Łatwym zejściem dookoła płyty (ścieżka) wprost do stanowiska zjazdowego u wylotu kolumny Komarnickiego. Jeden zjazd 60m (wystarczy także 55m) pozwala dostać się do podstawy ściany.

Potrzebny sprzęt:

W zasadzie wystarczy zestaw standardowy TBM – czyli kości i friendy do nr 2, jednak nie będzie zbytkiem ostrożności wziąć ze sobą dodatkowo młotek i 4 haki – 2 małe/średnie falki, łyżkę i miękką rynnę.

Warto połączyć odwiedzin zachodniej ściany z przejściem sąsiedniej *Drogi Inwalidów* (VIII-), *Dachu* (VII+), ewentualnie *Motyki* albo *Galfy'ego*. Wszystkie są pięknymi, klasowymi wspinaczkami.

Artur Paszczak na drugim wyciągu drogi.
Fot. arch.: Artur Paszczak.



Galeria Gankowa – uzupełnienie do A/Zero 10

Opracowanie Artur Paszczak



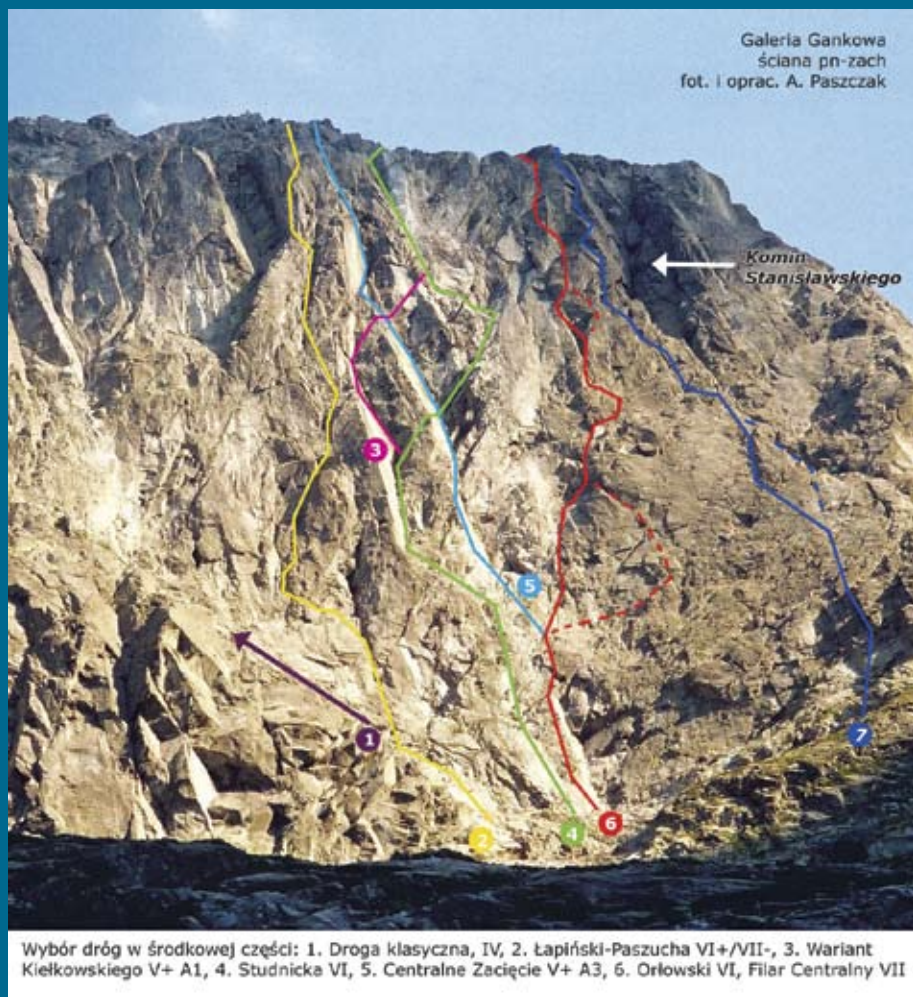
Zejsście na pustą ławkę. Fot.: Artur Paszczak.

Ponieważ ubiegłego lata udało mi się dwukrotnie odwiedzić Galerię, zaowocowało to wykonaniem dwóch dobrych topo do dróg, których schematy pozostawiały, oględnie mówiąc, dużo do życzenia. Mowa o drodze Orłowskiego i Filarze Centralnym. Przy okazji, jako że uzyskałem dobre zdjęcie ściany, mogłem też dokładnie wrysować te i sąsiednie linie w ścianę z dużo lepszą dokładnością, niż miało to miejsce w poprzedniej edycji. Myślę, że szczególnie przydatne będzie zarówno fototopo, jak i schemat bardzo popularnej drogi Orłowskiego.

Dla pełnego obrazu, parę dodatkowych uwag o każdej z dróg.

Schodzimy z Galerii albo ze wschodniego skraju granią (miejsca I-II) na Pustą Ławkę, skąd zejście w kier. północnym a następnie zachodnim (odcinek III, ew. jeden zjazd) pod ścianę (łącznie 20-30 min), albo z zachodniego skraju nieco w górę i trawersem (I-II, ew. jeden zjazd) na Wschodnią Rumanową Przełęcz, skąd bez trudności do schroniska przy Popradzkim Stawie. Jest to także dogodna droga podejścia pod ścianę od słowackiej strony.

1. **Droga Klasyczna, IV, 3h**
Ignacy Król, Władysław Kulczyński jun. i Józef Lesiecki, 27.07. 1911.
Droga polecana zimą, latem nieciekawa i krucha.
2. **Komin Łapińskiego, VI+/VII-, 5h**
Czesław Łapiński i Kazimierz Paszucha, 6-7.09.1944.
Piękna droga, klasyk doliny, polecana latem i zimą.
Najszybsze polskie zimowe – Paweł Mieszkowski i Michał Ziółkowski, 10h.
Wbrew utartej opinii nie jest to droga trudniejsza od np. *Orłowskiego*, szybko wysycha, w większości oferuje dobrą asekurację, jest orientacyjnie dość ewidentna i niebawale piękna. Osobiście uważam, że ze względu na czytelny przebieg bardziej nadaje się na

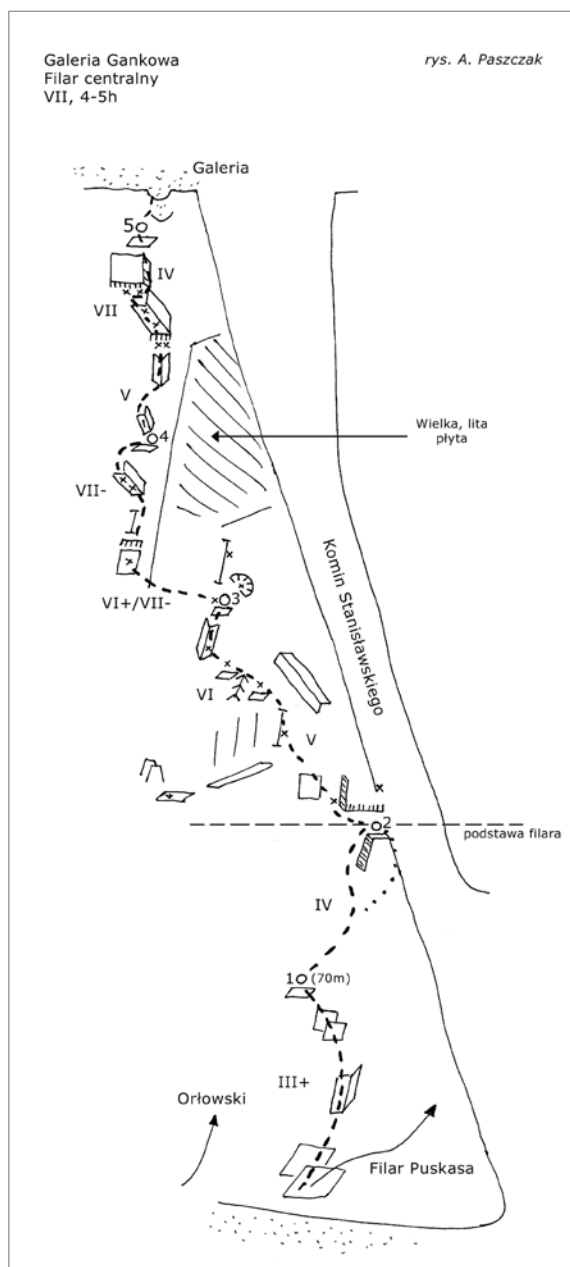


pierwszą drogę na zasadniczym urwisku Galerii (pomijając *Filar Puskasa*) niż wspomniany *Orłowski*.

3. **Wariant (droga) Kiełkowskiego, V+ A1**, 10h
Jerzy Kalla i Jan Kiełkowski, 21.08.1971.
Prawdopodobnie bez powtórzenia.
4. **Droga Studnička, VI-**, 5h
Z. Studnička i K. Hauschke 22. 09.1960.
Droga piękna, ale przez 90% czasu – mokra.

5. **Centralne Zacięcie, V+ A3/A3**, 10h
J. Hradecký, O. i A. Pochyly, 21-22.03.1980
6. **Droga Orłowskiego, VI**, 5h
Włodzimierz Gosławski i Tadeusz Orłowski, 30.07 i 3.08.1939.

Po zrobieniu tej drogi nie napisałbym chyba o niej – „wspaniała”. Zdecydowanie użyłbym słowa „poważna”. Z kilku powodów: jest orientacyjnie trudna, aczkolwiek jest to



chyba winą bardziej słabego opisu i schematu niż zawikłanego przebiegu, jest miejscami krucha, często mokra. Wspinaczkowo nie jest zbyt piękna – zdecydowanie *Ea-Pa* czy *Filar Centralny* w mojej opinii nad nią górują. Odczuwalne trudności nie są też dużo niższe od tych na *Łapie*. Innymi słowy, zupełnie niesłusznie droga ta ma opinię „celu pierwszego wyboru” – jest to droga, do której należy być dobrze przygotowanym i nie należy spodziewać się spacerku.

7. **Centralny Filar, VII, 5h**

R. Antoniček i towarzysze,
15. 10. 1963

Piękna droga o dość dobrej asekuracji i nieco zawikłanym przebiegu w dolnych partiach, który jednak wyjaśnia załączony schemat. Sądzę, że porównanie go do wcześniejszej, dostępnej w sieci, wersji wyjaśnia dłaczego. W dolnej części droga jest nietrudna, natomiast pierwszy wyciąg wprowadzający w zasadniczą część filara jest i trochę kruchy i nieoczywisty w przebiegu. Dalej linia jest czytelna, a wspinanie bardzo piękne i efektowne. Jak na wszystkie cele na Galerii – lepiej zabrać 5-6 haków, w tym 2 łyżki.

8. **Komin Stanisławskiego, V+, 5h**

Wiesław Stanisławski i Marek Żuławski 19.08.1931

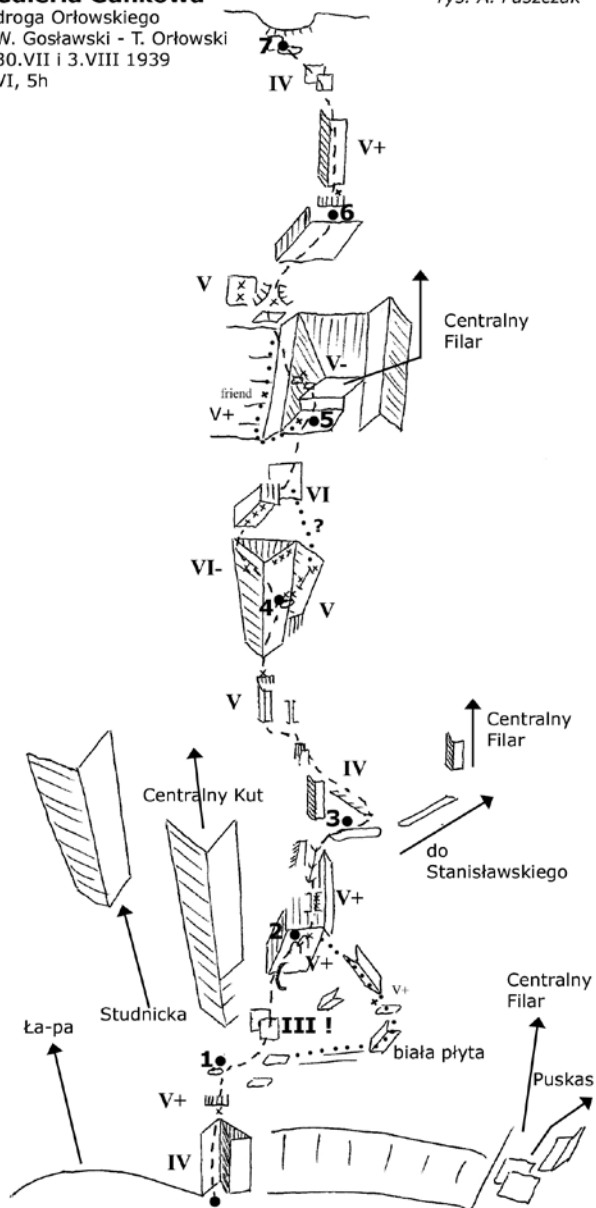
Pierwsza droga na właściwej ścianie, jeden z ówczesnych rekordów trudności. Często mokra, uważana za drogę raczej zimową.

Przeście zimowe: Zbigniew Krośkiewicz i Marek Pokszan, 10h.

Galeria Gankowa

droga Orłowskiego
W. Gosławski - T. Orłowski
30.VII i 3.VIII 1939
VI, 5h

rys. A. Paszczak





Oni

Tekst: **Jan Gondowicz**

Sto lat temu stwierdzono, że „dla obeznanych z techniką chodzenia po skałach jedynym istotnym niebezpieczeństwem w Tatrach są kamienie i skały spadające”. Ale że od tamtego czasu większość kamieni już spadła, za główne zagrożenie w Tatrach trzeba dziś uznać partnera-idiotę.

Jedno z drugim wiele łączy. Partner-idiota przejawia się zwykle w sposób nie mniej nagły, a skutki ma równie złowieszcze. Jest jednak jako zjawisko dużo mniej zbadany i podręczniki o nim milczą. Czas nadrobić ten brak. Kłopot w tym, że partnerów-idiotów jest w górach tyle, co kamieni.

Na pozór łatwo poznać, kto to partner-idiota. Partner-idiota gna jak dziki, gdzieś się wlecze, zapycha się beznadziejnie, zjeżdża na oślep, spada ci na łeb, asekuruje mniej więcej, ma inne zdanie, wszystko mu jedno, przecenia formę, wciąż się czepia, płacze linę, zwała głazy, nie czuje pogody, łapie iszias, ciągle gada, milczy jak grób, szuka guza, znów zapomina, wycina warianty, wcina nieświeże, gubi szpej, traci głowę, zmusza, żeby tłuc się po nocy, ma humory, stawia się chatarowi i ogólnie ściąga pecha. Każdy z owych przypadków sprowadzić może najpoważniejsze konsekwencje.

Rzecz w tym, że poczynania partnera-idioty motywują głębokie racje, które musisz zgłębić jako partner partnera-idioty, jeśli chcesz wyjść z tego cało.

Nie jest to łatwe. Znałem takich, co na zachodnią Mnicha brali cichcem do worka cztery kilowe konserwy, lustrzaną pryzmatyczną Zenit, ruski juwel Szmieł z pompką i barchanowe gacie. Puszki wciąż gdzieś tam są. Słyszałem na własne uszy: „chłopaki, czy któryś wie, jak zejść z Mięgusza?” i propozycję: „zostań tak, bo mi się film w aparacie skończył”. Widziałem ściągnięcie liną z przewieszki, zakładanie zjazdu z przyniesionego na krawędź kamienia, a na płytach Wrześniaków ochryplą parę, której między karabinkami chodził supeł jak bochen. Na Cubrynie dostałem w gołen czekanem, na Żółtej Ścianie - w kark bidonem, a na Kieżmarskim - w nos zegarkiem. Wszystko to było dziełem mych lubych partnerów. Znalazłem na Galerii Gankowej portfel z pięcioma tysiącami koron. To się popisał czyjś inny partner. Praktyka górską wskazuje, że każdego prędzej czy później czeka rola partnera-idioty. Dowodem – te oto podsluchane monologi:

Fot. arch. Kingi Baranowskiej. Wspinaczka na Denali.

Pierwszy na linie

Przecież mam oczy. Jak to „dalej”? Zamknij dziób. Tu się nie da. Luzu. Cicho tam. No i dupa. Daj mi pomysłu. Luz, do cholery! O, k...! Cały jesteś? Dobra, dobra. To uważaj. Szlag by trafił! Sam zobaczysz. Po-dejdz trochę. Jeszcze. Jak to „niżej”? Już nie mogę. Przestań kłapać. Zaraz, zaraz. Mądry się znalazł. Jesteś pewien? Jesteś pewien? Bloook!

Drugi na linie

Nie w lewo, tylko w prawo. W prawo! Cholera, to może w lewo. Od początku mówiłem „w lewo”! Czeka, zaraz sprawdzę. Złap się dobrze, to znajdę schemat. Wygląda, że w prawo do góry. Chyba, że to nie tu. Weź się podciągnij i wyjrzyj. Ale szybko, kurcz mnie łapie. Nie tam, tylko tam. No tam! Koło tych takich. Jak to nie widzisz? To się wychyl. Jeszcze! Tylko wsadź coś, wsadź coś, wsadź coś!

Instruktor

Gazu, gazu! Zła koordynacja ruchów. Tak się to robi. Noga wyżej. Nie ta. A przelot? Dobra, dobra. Masz oczy? Środek ciężkości przerzuć. Jak to „nie wiem”? Patrz no, Staszek, na tego. A co mówiłem? To jest węzeł? Uważać tam! Sam pomyśl. Rusz no się. Nie tak ostro. Tylko bez takich. Nerwus. No, co tam? Nie tak, tylko tak. A ta szpara to co? Wyżej ręka! Nie bądź za sprytny. Potem pogadamy.

Dziewczyna

A to do czego? Patrz, motylek. Ciężkie. Gdzie mam stanąć? Jeszcze moment. Oj! Tylko palec. A co teraz? Tu nic nie ma. Co to załupa? Nie sięgam. Czekaj. A tu jak? Aleś ty cham. Zimno mi. Tędy? Nie ciągnij! Uf. Przecież idę. Pająk!!! Tu kapie. Aaaale luft! Aj! No to co, że spadł. Mógłbyś nie kłać. Daleko jeszcze? Zgniotłeś kwiatek. Jak to tędy? Masz chusteczkę?

Soloizm

Radykalnym rozwiązaniem sprawy jest wspin solo (tzw. solizm). Wtedy sam dla siebie jesteś partnerem-idiotą.





Wspomnienie
o Andrzeju Skłodowskim „Baronie”

Andrzej Skłodowski urodził się 1 lutego 1944 roku w Częstocicach. Ukończył Wydział Etnografii Uniwersytetu Warszawskiego, ale przez wiele lat pracował jako dziennikarz w Polskiej Agencji Prasowej.

Zaczął wspinać się w Tatrach w 1960 roku. Ukończył kurs tatrzański, gdzie jego instruktorem był Andrzej Ślawiński „Negro”. Samodzielne wspinaczki rozpoczął ze swoim sąsiadem i przyjacielem Markiem Sokołowskim (z „tych” Sokołowskich). Nieco później dołączył do nich Dyzma Jacek Woszczerowicz (z „tych” Woszczerowiczów). Gdy poznałem ich w Morskim Oku wczesną zimą 1963 roku, tworzyli barwną i sympatyczną ale dość hałaśliwą grupę. Dość szybko dali się poznać jako zespół dobrze wspinający się i bardzo ambitny, ale mający duże braki w doświadczeniu. Ich plany zostały szybko przyhamowane gdy podczas próby pierwszego zimowego przejścia direttissimi wsch. ściany Mniszka, Jacek Woszczerowicz zaliczył długi lot, grożący zresztą odpadnięciem całego zespołu. Ten wypadek jakoś zbliżył mnie do nich. Wkrótce potem namówiłem Jacka na „leczenie kompleksów” – wspólne pokonanie ściany Mniszka. Andrzej Skłodowski pozostał na uboczu, więc gdy zrobiliśmy z Jackiem direttissimę

Mniszka, jego ambicja mogła doznać uszczerbku.

Gdy w marcu 1964 roku Jacek Woszczerowicz zginął w lawinie pod pn. ścianą Małego Kieźmarskiego Szczytu, grupka jego przyjaciół mocno się zważyła. Wówczas było to już dość szerokie grono, któremu przewodził właśnie Andrzej Skłodowski. Zawiązał się nieformalny klub, który Andrzej nazwał „Motylki”. Należeli do niego m.in. Samek Skierski, Marek Sokołowski, Nelly Norton, Zosia Kliszko, Olgierd Polakowski i Piotr Wielburski (obecnie jako aktor używający nazwiska Garlicki). Również i ja, choć sporo od nich starszy zostałem „Motylkiem”. Oprócz bujnego życia towarzyskiego, snuto również plany wspinaczkowe. Dość naturalnie moim partnerem wspinaczkowym w lecie 1964 roku został Andrzej Skłodowski. Zaczęliśmy od zrobienia II przejścia drogi Sprężyny na Kotle Kazalnicy. Większość sezonu zeszła nam na poprowadzenie nowej drogi „Wielkim Ściekiem” na Kotle, którą postanowiliśmy poświęcić pamięci Jacka Woszczerowicza.

Później nasze drogi taternicze zaczęły się rozchodzić. Ja już od 1963 roku wyjeżdżałem w Alpy, Andrzej po raz pierwszy pojechał tam dopiero w 1967 roku. Wcześniej z powodzeniem działał w Tatrach. W 1966

roku, wraz z Andrzejem Migockim i Adamem Uznańskim, poprowadził nową drogę środkiem płyt ściany czołowej Kopy Spadowej. Dziś jest to jedna z najpopularniejszych dróg w basenie Morskiego Oka.

Jego alpejski debiut był bardzo udany. Był m.in. współautorem pierwszych polskich przejść dróg Cassina na pn.-wsch. ścianie Piz Badile (1967) i Diembergera na pn.-wsch. ścianie Piz Roseg (1967), a w kilka lat później także Filara Gervasutiego na Mont Blanc du Tacul (1974). W tym samym 1974 roku dokonał również II przejścia drogi braci Vernet na zach. ścianie Ailefroide Centrale (Masyw Écrins). Partnerami Andrzeja w Alpach byli m.in. Andrzej Czok, Henryk Furmanik, Marek Grochowski, Krzysztof Pankiewicz, Samuel Skierski, Bogumił Słama i Wojciech Wróż. W następnych latach Andrzej wspinał się również w Bułgarii, Rumunii, Kaukazie, Pamirze i Himalajach.

Po 1965 roku rzadko byliśmy związani liną. Do nielicznych wyjątków należał zimowy wyjazd do Grecji w 1975 roku. Po zaawansowanej próbie pokonania drogi Michailidisa-Zolotasa na główny wierzchołek Olimpu – Mytikas, dokonaliśmy (wraz z Markiem Grochowskim i Andrzejem Marczakiem) pierwszego zimowego przejścia drogi Comiciego na nieco niższy wierzchołek – Stefani. Później dawałem się Andrzejowi i Iwonie namówić na raczej rekreacyjne wypadki w Alpy. W 1994 roku weszliśmy na Mont Blanc i Matterhorn, w 1996 wchodziliśmy razem – oni na nogach a ja na nartach – na szereg szczytów austriackiego masywu Hochschwab.

Ważnym rozdziałem w życiu Andrzeja Skłodowskiego było ratownictwo. Kandydatem na ratownika został 30 sierpnia 1966 r. a przysięgę złożył 28 października 1968 r. Był jednym z najaktywniejszych ratowników-ochotników (80 wypraw, 5 narciarskich, tysiące godzin dyżurów). Działał w GOPR organizacyjnie i był jednym z architektów usamodzielnienia się Grupy Tatrzańskiej i powrotu do starej nazwy i tradycji. W 2001 r. uzyskał dyplom przewodnika IVBV i zawód ten również sprawiał mu ogromną satysfakcję.

Chętnie otaczał się taternicką młodzieżą i łatwo się z nią dogadywał, był ideowym łącznikiem między różnymi generacjami. Aktywnie działał w Kole Warszawskim KW, w KWW i w komisjach PZA. Energiczny i elokwentny, często prowadził walne zebrania – tak w KW jak i w TOPR.

Dużo pisywał w czasopiśmie taternickich, m.in. jest autorem opracowań wspinaczkowych Koprowego Wierchu, Hrubego Wierchu i otoczenia Bużynowej Dolinki. Wydał także kilka przewodników wspinaczkowych.

W Tatrach, w Zakopanem, w klubie, należał do najpopularniejszych postaci. Powszechnie lubiany, uczynny, towarzyski i dowcipny, był duszą klubowych obozów, imprez i spotkań. W schronisku nad Morskim Okiem od lat przewodził sylwestrowej kapitule Złotego Jaja.

Andrzej odszedł w pełni sił – jeszcze na parę dni przed tragiczną śmiercią snuł kolejne plany. Mimo ogromnej aktywności górskiej i wielu „poważnych ostrzeżeń” wypadkowych, góry były dla niego łaskawe. Jego los dokonał się 3 grudnia 2007, w mieście, w inny, dla nas niezrozumiały sposób. Był to wstrząs dla całego środowiska taternickiego. Będzie nam brakowało Barona, jego tubalnego głosu, jego nadzwyczajnej energii i ofiarności.

Janusz Kurczab





Wspomnienie
o Tadeuszu Targalskim „Ascecie”

Co można napisać we wspomnieniu o tak niezwykłym człowieku? Tyle myśli się ciśnie - tak osobistych, tyle anegdot - tak abstrakcyjnych.

Prowadził Tadeusz Targalski żywot ekstremalny. Zafundował mu to los, obarczając nieuleczalną (przynajmniej dla naszej służby zdrowia) chorobą, fundował mu to sam „Asceta” - bezkompromisowym traktowaniem własnego organizmu i radykalnym systemem wartości. Dyktował mu to bujny, pełen uniesień, trwający aż do śmierci romans z górami. Tadeusz wiecznie zmagał się z „Ascetą” i pozostawał pod jego przemożnym wpływem. Asceta - hedonista, niezwykle towarzyski samotnik, pełen empatii złośnik, nałogowiec w wielu dziedzinach, w każdym wcieleniu skrajny, zawsze z odrobiną szaleństwa. Los bardzo ciężko Go doświadczał - radził sobie z tym, jak potrafił.

Ktoś raz na łamach „Gór” zarzucił Włodkowi Cywińskiemu wprowadzanie nowych nazw w tatrzańską topografię i jako przykład podał „Żleb Ascety”, kwitując - a kto to właściwie jest Asceta? W odpowiedzi przeczytał, że skoro zdaje takie pytanie, najwidoczniej nie ma zbyt wiele wspólnego ze wspinaniem zimowym w Tatrach. Rzeczywiście, większość z nas znała Tada z MOK-a, gdzie rezydował przez ostatnie sezony, oraz przede wszystkim

z miejsca, które będziemy pamiętać jako „Chatka Ascety”. Choć nie był tam pierwszym chatarem, nie negocjował z Parkiem, to trzeba powiedzieć, że to właśnie On stworzył to miejsce, nadał mu niepowtarzalny klimat i starał się jak mógł, żeby funkcjonowało dla wygody wspinaczy. Z pewnością te starania, jak i całe życie Ascety, można różnie oceniać, ale wiem, że wkładał w nie całe serce oraz skromne środki, jakie posiadał i myślę, że wszyscy to czuli. Trudno się stamtąd wyjeżdżało, za to wracało - jak do domu. Asceta witał wszystkich herbatą i wiadomościami o warunkach, podpytywał o plany, pożyczał sprzęt, udostępniał przewodniki, doradzał początkującym. Powstało całe środowisko związane z tym miejscem, które z czasem ewoluowało, pojawiały się nowe postacie, inne znikaly, ale wszystkich łączyła wielka sympatia do Ascety. W tym małym pomieszczeniu doskonale było „nakręcać” się wzajemnie do zdobywania kolejnych celów, czy odprężyć po ciężkich przeżyciach (podczas niezwykle hucznych imprez). Ukoronowaniem towarzyskim i sportowym tej epoki był „Chatka Climbing Team”.

Asceta kochał wspinanie i kochał MOK. Najbardziej kojarzę Go z Turnią Zwornikową, gdzie odniósł wiele sukcesów i wiele porażek i gdzie w końcu nie

załatwił porachunków z Cieniem Diabła. Postępująca choroba stopniowo zamykała mu drogę w ściany. Zawsze, od kiedy Go znałem, każde Jego działanie, poczynając od założenia butów, a skończywszy na ich zdjęciu, naznaczone było wielkim wysiłkiem i cierpieniem. Nie rozstawał się z proszkami przeciwbólowymi. W skałkach, żeby obejrzeć drogę, musiał położyć się pod ścianą. Mimo to wspinał się aż do końca, okresami bardzo intensywnie, robiąc solidne drogi zimowe. Potrafił w trudnych sytuacjach przejąć prowadzenie i wyprowadzić zespół ze ściany, czego sam wielokrotnie doświadczyłem. Po jego stronie stało duże doświadczenie zdobyte w Tatrach i Alpach. Jego działanie, na pozór chaotyczne, było w rzeczywistości przemyślane i celowe, a asekuracja pewna. Można było Mu zaufać.

Asceta miał bardzo ciekawe życie. Opowieści dawkował jednak bardzo oszczędnie, trzeba je było gromadzić i składać w całość. Były one pełne wni-

kliwych przemyśleń i trafnych spostrzeżeń, zawsze autoironicznych. Żałuję, że nie powstanie „Ascety lato w Szamoniksie”, że ulecą z pamięci historie samotnej podróży rowerem do Marsylii, przygody w Fontainebleau i wiele innych.

Niewypowiedzianie bardziej żałuję jednak, że nie będzie już następnych wspólnych planów i pewnie nikt już nie wyciągnie wielkiej bombonierki w ścianie Gankowej Strażnicy.

Los okazał się być równie ironiczny, co nasz Przyjaciół i uśmiercił Go w chwili, gdy Asceta podjął ogromny wysiłek dokonania w swoim życiu zmian, ponadto stało się to w Wariatkowie, jak mawiał, a nie w górach.

To był wspaniały Człowiek - z prawdziwymi wadami, z prawdziwą wielkością i z ogromną radością i potrzebą życia.

Marek Soszka

SZKOŁA ALPINIZMU W PIONIE



ZAPRASZA NA

➔ **NAJWIĘKSZĄ ŚCIANĘ WSPINACZKOWĄ
W CENTRUM WARSZAWY** UL. NOWOWIEJSKA 37B

➔ **KURSY WSPINACZKI NA SZTUCZNEJ ŚCIANIE,
W SKAŁKACH I W TATRACH**

WWW.WPIONIE.PL

Dla członków KW Warszawa 10% zniżki na kursy



0 601 24 29 23
0 501 501666



Od północno-wschodniej strony

Tekst: **Adam Śmiałkowski**

Z Dziennika Wypraw 16.I.2007

Usiłował sobie przypomnieć smak jej pocałunku. Szukał w pamięci jej ust, zbliżonych do jego warg...

Tymczasem las rzedniał, pojawiły się wreszcie symbole zimy. Symboliczne były to oznaki, bo jak na połowę stycznia, odkryte trawy, wystające kosodrzewiny, cienka warstwa zmrożonego śniegu, zupełnie nie pasowały do tej pory roku.

Wszedł do schroniska, było puste. Wpisał do książki wyjść: Świnica pn.-wsch. żleb WHP 39. Wyszedł i tam też był sam. Było po ósmej. Kolejka krzeselkowa w Kotle Gąsienicowym była czynna. Kilku narciarzy korzystało z tego udogodnienia, mimo wystających kamieni i beznadziejnych warunków do zsusowania. Jedynie pogoda była wyśmienita - temperatura lekko poniżej zera i przyświecające od południa słońce, które nie mogło wychylić się poza czubek Kościelca.

Wiedział, że tak już pozostanie, dopóki nie osiągnie grani, gdzie go dopiero obejmą ciepłe promienie. Po raz kolejny wysuptywał z pamięci ciepło jej ciała, gorąc pocałunku...

Bez pośpiechu zbliżał się ku ścianie. Zobaczył w niej dwie postacie, słyszał wyraźnie ich głosy. Kończyli pierwszy wyciąg na drodze Świerza - ciekawe czy się z nimi spotkam na szczycie - pomyślał. Ruszył w głąb Świnickiej Kotlinki, kierując się wprost na Gąsienicową Turnię.

Stanął przed wielką ostrogą skalną, zupełnie przysypaną śniegiem. Przebrał raki i ru-

szył nią pod górę. Niebawem ostroga stała się stroma. Doszedł do jej końca i zatrzymał się u podnóża żlebu, zawieszono go nad jego głową, niewidocznego, zasłoniętego skałami.

Zapomniał zupełnie o niej i jej pocałunkach. Delikatnie balansował ciałem, by ściągnąć plecak i odpiąć od niego dziaby, które były mu teraz niezbędne. Pod sobą miał ostrogę i kościół, przysypane co prawda śniegiem, ale już daleko w dole. Gryzł pospiesznie figi, którymi zapchał sobie usta; przez moment stanęła mu przed oczami jej uśmiechnięta twarz przy stole z kawą, figami i daktylami. Obraz znikł, gdy tylko zacisnął ostatni pasek na przyrządzie.

Nie był całkiem pewien czy dobrze się kieruje, trawersując w prawo, pod skałami nad sobą, które jak mu się zdawało, zagradzały drogę do żlebu. Spojrzał na lewo, w stronę Niebieskiej i Gąsienicowej Turni, upewnił się, że wśród ich skał nie mógł się chować żleb, do którego miał wejść.

Ostroga, nad którą się wspiał, uciekała mu teraz spod nóg. Pas skałek powyżej schodził pionowo w dół, a śnieg już się ich nie trzymał. Zbliżał się do początku żlebu, który miał tu powstać rynny, z małą lodową strużką koloru niebieskiego, biegnącą jego środkiem. Zaczepiając dziaby o skały, niemal wpadł do rynny, której dno było zupełnie szkliste. Nachylenie rynny było znaczne, śnieg się jej nie trzymał. Szybko przebył wąski odcinek jej dolnych partii, by stanąć pod skalnym progiem, w miejscu gdzie rynna rozszerzała się już w zasadniczy żleb.

Spojrzał w dół. Było stromo, zimowo, groźnie, kocioł i rynnę obejmował półcień. Gdzieś jeszcze niżej, w mieście, była ona - ze swym zapachem, urodą i czarem. Ale już nie myślał o niej, wszedł w inne objęcia, którym się teraz powierzył, których musiał się trzymać, by nie upaść w otchłań pod sobą. Nie było odwrotu. Musiał iść w górę. Stał pod trzymetrowym lodospadem z wodnistym lodem, łupiącym się dużymi kawałkami po każdym uderzeniu dziaby. Nie mógł się w niego wbić, i nie mógł po nim iść, bo wszystko odpryskiwało.

Przeszedł na lewy kraj przeszkody, spróbował pod przewieszającymi się skałkami, nie udało się. Delikatnie wycofywał się, śnieg który go utrzymywał gdy nim podchodził, teraz się zsypywał, obnażając lodowe podłoże. Pomyślał tylko, że gdyby się poślizgnął, to rozpedzony wyleciałby jak z katapulty, wypłuty przez rynnę wprost na ostrogę. Zaraz się też skarcił za tą myśl, bo wiedział że w ślad za nią wyobraźnia podsunie jeszcze dramatyczniejsze obrazy, i skupienie umysłu i mięśni ustąpi miejsca niepewności, drganiom ciała, a w końcu strachowi, który zamienia się w niemoc, niewiarę, niemożliwość.

Pewnie i jej zdarzało się tak myśleć o nim, że nie podoła temu, co życie może przed nim postawić, że się odwróci od niej w trudnościach, ale ona mogła się wciąż wycofać, on już nie, nie teraz, nie w tym momencie. Mógł tylko albo przejść próg, albo prosić o pomoc. Nie czuł strachu, bo wszystkie zmysły koncentrował na układaniu ciała pomiędzy niebieskim lodem, a skałami z prawej strony, pośród których znalazł jakieś mizerne trawki. W niektóre w nich przyrzędy wbijały się dobrze, niektóre były niezmrożone. Był w połowie lodospadu. Lewa noga opierała się na lodowych stopniach, prawa na skale. Mógł teraz sięgnąć rękami poza lód i ten moment przejścia z trudniejszego w łatwiejszy teren, był najbardziej niebezpieczny, bo na wypłaszczonym terenie musiał się wyprostować i jedynym jego oparciem były teraz tylko nogi. Podczołgał się jeszcze metr poza próg lodospadu i stanął nad nim.

Spojrzał za siebie i pod siebie, był zadowolony z tego czego dokonał. Wspinał się sam na drogach, które wymagały asekuracji. Ale nie uważał tego za ryzyko, to był etap w tym co robił, naturalna potrzeba zmierzenia swoich umiejętności ze skałą, z terenem, z tym co prawdziwie mogło je weryfikować. Ograniczając ryzyko, ograniczałby szanse swojego rozwoju. Nie uciekał w ryzyko przed nią, przed życiem. Raczej szedł tu do niej, do życia. Jeśli kochał góry za coś, poza tym aksjomatem ich niezmienności w oczekiwaniu go przez nie (co czuł fizycznie, jak ciepło jej ust, co wyczytywał z ich oblicza za każdym razem gdy stawał pod ścianą), to tym czymś, były wyzwania jakie wciąż mu stawiała, by ich dosięgał w pełni, by je zgłębiał, by pojmował ich boską naturę.

Nie zastanawiał się nad tym nigdy. To wszystko następowało naturalnie, ten jego proces wzrastania do nich, (choć przecież za każdym razem stawał na wierzchołku i mało było takich których nie dotknął, to i tak nie szczyty były celem, a jedynie przebywanie wśród nich). To był proces miłości, tym większej im więcej je znał. Miłość do nich stawiała mu wyzwania, ta chęć zbliżenia się do ukochanej (góry, ściany, rynny?), była tym co pchało go w pewien stopień ryzyka, co narzucało mu taki, a nie inny wybór drogi.

Czy się bał? Bał się śmierci, odrzucenia, w którym już nigdy nie oglądałby ukochanej (doliny, ściany, jej oczu z szeroko otwartymi żenicami, z niebieską jak górski lód, tęczówką). Nie bał się gdy ku niej szedł, gdy wchodził w nieznany teren, wtedy był z nią, obcował z jej naturą, czasem zimną, ciemną, bezwzględną, czasem ciepłą, wysłonecznioną, łagodną, zawsze pełną przepychu i bogactwa uczuć. Mógł jedynie nie przyjść, albo cofnąć się gdy dawała mu do zrozumienia, że jest niemiłe widziany, tak by chronić swoje życie, ale nie mógł się bać i nie mógł przestać wierzyć że ona go czeka (góra, skała, jej twarz wyrazista jak górski łańcuch). Gdyby przestał wierzyć, umarłby dla niej, dla nich (górskich odludzi). Bo jeśli nikt nie czeka, to wtedy idzie się ni-

czym ślepiec; bez miłości która prowadzi, bez nadziei na spotkanie słońca na szczycie; wtedy idzie się po śmierć, wtedy ryzyko nie jest tym które zbliża, ale tym wiodącym na zatracenie, które nie liczy się z ukochaną (ścieżką, ścianą, osobą).

Skąły powyżej wydawały się łatwe, dopóki nie znalazł się tuż przy nich. Wszedł w ryse z ich lewej strony i zapierając się o płytowy granit, stanął na półeczce. Znajdował się na grzędzie ograniczającej żleb z prawej strony. Żeby wejść do niego z powrotem musiałby przejść płytą, nie dającą żadnego oparcia. Z drugiej strony, łatwiejsze skały mogły go wywieść w środek ściany, z której mógłby już być niemożliwy powrót do żlebu. Mimo to wspiał się po małych stopieńkach w górę grzędy, wyczuwając intuicyjnie dostęp do łatwiejszego terenu. Nie pomylił się, krótki kominiek wyprowadził go na szerokie pole śnieżne, będące dalszym ciągiem żlebu. Ukazała mu się grań, ciągnąca się od Niebieskiej Turni. Skały na niej były nagie, prawie jak jej stopy, które lubił dotykać, których się trochę wstydziła.

Posuwał się jednostajnie, miarowo wbijając przyrządy w twardy śnieg, aż stanął przy zwężeniu, skąd żleb stromiej dźwigał się w górę. Dostrzegł słońce na górze, tam gdzie kończyła się jego droga. Śnieg był tam jaśniejszy, uśmiechnięty, jak wtedy gdy nic jej nie trapiło, albo gdy zwracała się w pozytywną stronę. Znów pod warstwą śniegu wyczuwał kruchy lód, dokładniej wbijał przyrządy, sprawdzał jak są osadzone, lecz szedł pewnie, nie wykonywał zbędnych ruchów, nie dekoncentrowała go żadna myśl, nie przypominał sobie o niej; jedyne co robił, to podchodził wzwyż, w najwyższej uwadze.

Minął zwężenie, żleb się ponownie rozszerzał, teren stawał się łatwiejszy. Twardy, zmrożony śnieg świadczył, że jest już blisko szczytu. Wprawnymi ruchami zdobywał ostatnie metry. Stanął pod nawisem śnieżnym, wywniętym w jego stronę, jak grzywka jej włosów nad czołem, dumnie wysuniętym w jego stro-

nę. Osadził przyrządy za jej krawędzią i podciągając się na nich, wczółgał się na grzbiet szczytyny. Z niej już zupełnie swobodnie, przeszedł w kilka chwil na pobliski, północno – zachodni wierzchołek.

Był sam. Nie było nikogo przy nim. Naokoło były szczyty i granie, które znał i które mu się przyglądały. Patrzyli na siebie i w siebie – on w ich czarno popielate sylwetki (w jej błękitne oczy), one (jej błękitne oczy, przyozdobione śniegiem sylwetki) w jego uśmiech łagodny, pełen czułości dla nich. Czuł dumę, ale przy nich nie śmiał jej okazywać. Słońce wyngażdzało mu tą skromność, otaczając go promiennym blaskiem swojej ciepła, było ciepłe jak jej pocałunek. Wreszcie mógł znów o nim myśleć, już nic mu w tym nie przeszkadzało.

Spojrzał w dół na przebytą drogę, urywającą się gdzieś niżej. Wciąż panował w niej ciemny chłód, jak chłód dłoni nie rozgrzewanych niczym dotykiem. Pomyślał, że przecież mogło być zupełnie inaczej, że mogło być tak jak się wszystko kończy – śmiertelnie i wyobraził sobie inne zakończenie, inne zwieńczenie tej wędrówki ku nim (tym szczytom, ścianą, żlebom, tym pocałunkom, objęciom, wejrzeniom) i ujrzał siebie tam niżej.

Uniósł nogę i jedną z dziab, szykując się do kolejnego wyćwiczonego ruchu, wznoszącego go wzwyż, wtedy odłupał się lód pod drugą z dziab, ciało straciło równowagę i odchyłone w tył pociągnęło go w dół. Spadł na plecy do mniej stromo nachylonej części żlebu, a on ciągnął go w dół, do progu. Odruchowo obrócił się na brzuch, usiłował hamować przyrządami, ale ciało było zbyt rozpedzone. Śnieg topił się na jego twarzy, jak lzy, albo jak lód, który pewnego wieczoru z uśmiechem przytykała mu do czoła.

Nie bał się, pewnie im (tej górze, tej kobiecie), było wszystko jedno czy je zobaczy – wierzchołek góry, uśmiech kobiety; pewnie nie czekały na niego, a on się od nich tego nie dowiedział i jak zwykle do nich szedł. W końcu poczuł jej pocałunek, był ciepły jak krew, ciało uderzyło o skalną ostrogę.

P O - S Ł O W I E P O - P R E Z E S A

C.d z nr 2(12)/2006.:

Good time, bad time... czyli rzecz o wypadkach.



Drugi element dobrego „timingu” to prawidłowo dobrany cel (miejsce) do naszych psycho-fizycznych predyspozycji opisanych poprzednio. Tutaj sprawa jest dość prosta. Cel nie może w sposób znaczny przewyższać naszych możliwości, zarówno technicznych, jak i logistycznych, związanych np. z trudnościami dotarcia pod ścianę oraz powrotu. Wydaje się, że od samych trudności technicznych drogi istotniejsze są niebezpieczeństwa zaliczane do tzw. niebezpieczeństw obiektywnych. Są to np. krucha skała i spadające kamienie, złe warunki pogodowe (deszcz, burze, śnieżyce), złe warunki śnieżno-lodowe, duże zagrożenie lawinami śnieżnymi i kamiennymi, trudności orientacyjne spowodowane skomplikowanym terenem lub brakiem widoczności (mgła, ciemność), duże oddalenie od tzw. cywilizacji, itp. Idąc w góry musimy mieć świadomość wszystkich tych zagrożeń, świadomie je ocenić i przewidzieć w razie potrzeby działania awaryjne. Na pewno prawidłowa ocena wszystkich zagrożeń minimalizuje groźbę potencjalnego wypadku. Należy pamiętać, że nawet łatwa droga, ale bardzo długa, położona na odległej górze ze skomplikowanym podejściem i zejściem, będzie stanowić jako całość poważne wyzwanie.

Aby mieć „dobry” timing trzeba jeszcze jednej rzeczy – trzeba słuchać własnego organizmu – własnego głosu rozsądku – przeczuć.

Jako przykład podam tu sytuację, która niedawno mnie samego spotkała, a świadczy dobitnie o tym, jak zlekceważenie tego głosu w prosty sposób doprowadzić może do katastrofy.

Poranek w Morskim Oku. Za oknem wirujące płatki śniegu i podmuchy wiatru zwiastują długie wylegiwanie w łóżku. Lecz oto, nagle, dwóch moich partnerów wiedzionych jakimś przedziwnym imperatywem zaczyna nerwową krzątalinę. Myślałem, że to tylko porządki w szpeje - ale nie... Wyrażnie pakowali sprzęt na wspinanie. Co gorsza po chwili usłyszałem głosy skierowane w moją stronę, delikatnie zachęcające do ruszenia tzw. dupy. Nie miałem na to kompletnie ochoty, lecz w końcu, jako człowiek miękkiego serca, uległem namowom. Wspinanie w dupowie nie było mi obce, aczkolwiek tego dnia myślałem o nim bardzo niechętnie...

„Cel bliski, droga łatwa, zejście znane i prawie już nie pada – przekonywali – nie będziesz siedział cały dzień w schronisku i żłopał piwa. Szkoda dnia. Idziemy”.

No i poszliśmy. Od samego początku czułem jednak jakiś dyskomfort i presję zagrożenia. Moi partnerzy nie podzielali tych - głośno przeze mnie wypowiedzianych - obaw i wesoło pomykali do przodu. W końcu to nie im miało się coś przydarzyć. Mój dyskomfort psychiczny nasilił się, gdy w drodze pod ścianą trzeba było pokonać naprawdę lawiniaste półko śnieżne. Niepokoju budziło nie tyle półko, co moje narastające poczucie zagrożenia. Zwykle, nawet jeśli takie poczucie odczuwałem przed wspinaniem, to znikało ono zawsze w miarę pokonywanych trudności drogi. Teraz było na odwrót. Droga łatwa, bez zagrożeń obiektywnych, a poczucie niepewności narastało. To był bardzo dziwne.

Po ostatnich trudnościach drogi proponowałem chłopakom zjazdu z ospitowanych stanowisk, które mijaliśmy po drodze, co szybko i bezpiecznie sprowadziło by nas na dół. Niestety nie znalazłem zrozumienia, więc brnęliśmy dalej zapadając się dramatycznie między kosówkami. W końcu osiągnęliśmy wierzchołek tzw. Turni Zwornikowej, zwiniliśmy szpej i jako pierwszy ruszyłem, jak na ścięcie, w dół Zachodem Szulakiewicza. Początkowe dziesiątki metrów pokonałem twarzą do stoku. Po naszych śladach sprzed dwóch dni nie pozostało nawet wspomnienie. Byłem już blisko Żlebu Mnichowego, gdy chłopcy ruszyli za mną. Nie spiesząc się, robiłem krótkie „dupozjazdy”, a gdy spychana nogami poduszka śnieżna przyjmowała większy rozmiar, przenosiłem się ostrożnie w inne miejsce. Tak dotarłem do żlebu i kontynuowałem zejście wspomnianą techniką. W którymś momencie, gdy właśnie przenosiłem się w nowe miejsce i stojąc wypatrywałem chłopaków, uderzyła mnie w plecy masa śniegu, wytrąciła z równowagi, ogarnęła, zaczęła kotłować i dusić. Spadałem niesiony lawiną kołując to na głowę, to na nogi. W którymś momencie prawa noga ugrzęzła w głębokiej, nieruchomej warstwie śniegu, a góra ciała wykonując kolejne salto, pociągnęła ją ukręcając stopę w kostce. Jeszcze kilka koźłów i wszystko zamarło. Siedziałem porzucony na śniegu z nienaturalnie wykrzywionym butem. Sprawa już była jasna. To było to, czego obawiałem się od rana. Ocalałem życie, ale nogę miałem złamana.

Tego dnia najwyraźniej nie miałem dobrego „timingu”. Nie znalazłem się we właściwym miejscu o właściwym czasie, a na dodatek nie postuchałem wewnętrznego głosu nakazującego pozostanie w schronisku... chociaż kto wie, co by było, gdybym w nim pozostał???

Siekiera

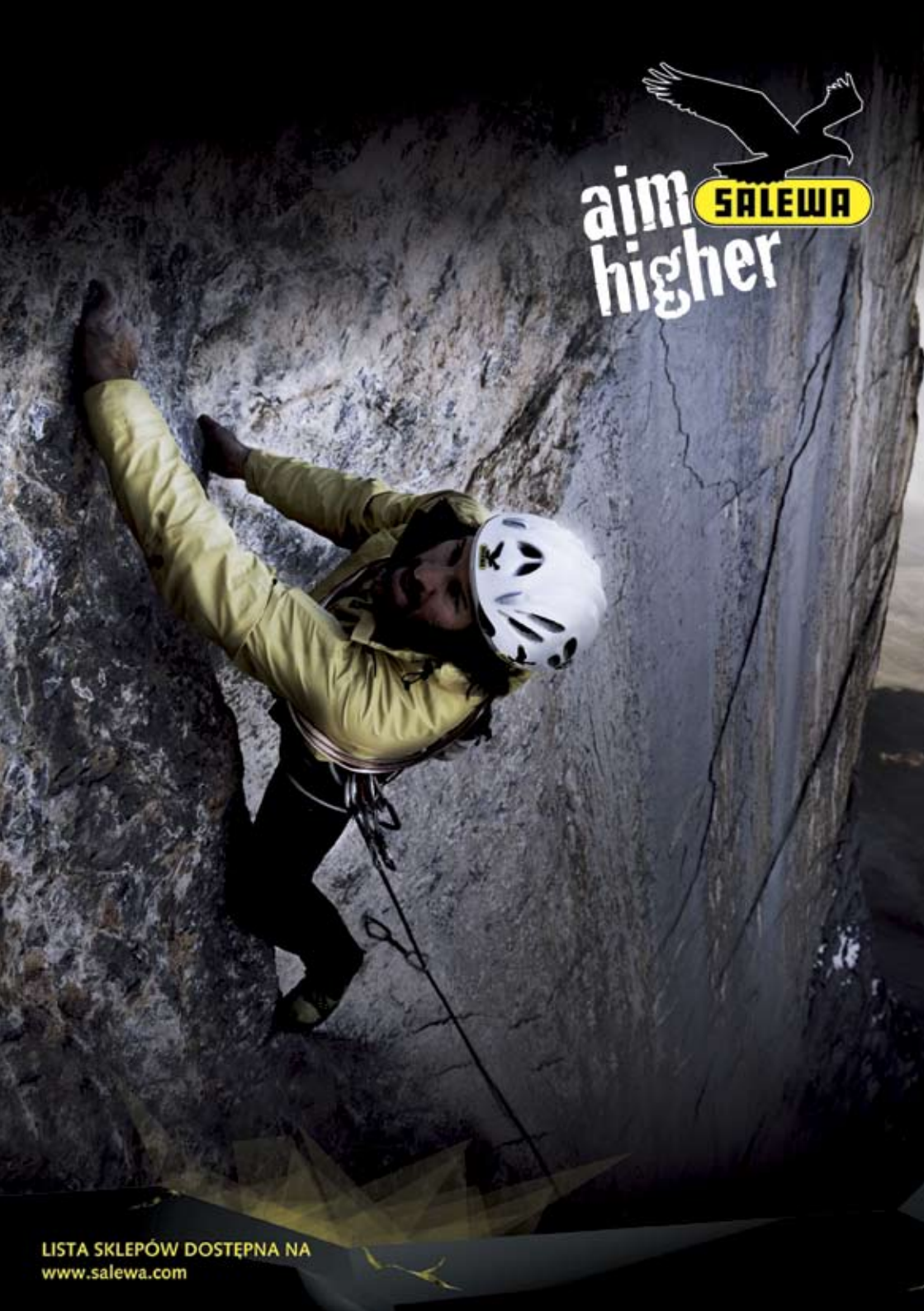
Dlaczego warto należeć do KW Warszawa

Jesteśmy klubem prawdziwie koleżeńskim, gdzie znajdziesz ludzi podziwiających Twoją pasję - góry i wspinaczkę. Znajdziesz kolegów na wspólne wyjazdy, otrzymasz pomoc w sprawach dotyczących Twoich zainteresowań. Poznasz doświadczonych wspinaczy i będziesz mógł się od nich uczyć. Nasz pakiet korzyści zawiera:



1. jedną z najniższych składek wśród klubów wysokogórskich,
2. możliwości i prestiż największego, rozwijającego się Klubu Wysokogórskiego w Polsce,
3. renomowany półrocznik A/ZERO przyślemy ci pocztą do domu,
4. otrzymasz ZNIŻKI nawet do 20% w kilkudziesięciu firmach i sklepach współpracujących z klubem – sprawdź aktualną listę sklepów na stronie [www](http://www.kw.warszawa.pl),
5. będziesz mógł uczestniczyć w klubowych imprezach, szczególnie w wyjazdach i obozach wspinaczkowych (letnich i zimowych), na których będziesz mógł udoskonalić lub poznać nowe dziedziny wspinaczki i jej techniki pod okiem najlepszych instruktorów,
6. dzięki współpracy klubu ze szkołami wspinaczkowymi "Alp Extreme", "W Pionie", "GoUp" uzyskasz w nich 10% zniżki na wszelkie szkolenia,
7. uzyskasz możliwość tańszego korzystania z warszawskich ścian wspinaczkowych "Obozowa" (zniżka na kartę dla KWW) oraz "Nowowiejska" (wtorek od 20.00 tylko dla KWW i tylko za 10 zł),
8. w środy i w soboty będziesz mógł korzystać z klubowej bulderowni w lokalu klubowym (w godz. 16-22.00). Jeżeli zaś wstąpisz do sekcji bulderowej - uzyskasz dostęp nielimitowany,
9. będziesz mógł uczestniczyć bądź współorganizować pokazy slajdów i filmów w klubowej siedzibie - wystarczy, że zgłosisz chęć pokazania swoich materiałów,
10. pomoc przy organizacji wypraw wspinaczkowych,
11. dostęp (po zalogowaniu) do bogatych zasobów strony [www](http://www.kw.warszawa.pl) – schematów, opisów wypraw,
12. możliwość dofinansowania działalności górskiej,
13. możliwość zakupu tańszego sprzętu w ramach zbiorczych zakupów klubowych,
14. możliwość nabycia klubowych gadżetów, a niektóre z nich otrzymasz bezpłatnie,
15. będziesz mógł podzielić się z innymi klubowiczami swoimi zdjęciami i artykułami publikowanymi na naszej stronie internetowej,
16. uzyskasz dostęp do klubowej biblioteki oraz bazy przewodnikowej, dzięki czemu - gdziekolwiek się udasz - uzyskasz potrzebne Ci informacje,
17. będziesz miał szansę zdobycia prestiżowej nagrody ORZEŁ KW,
18. zniżki w Tatrach na taboriskach, w Betlejemce i starym schronisku w Morskim Oku (zimą),
19. uzyskasz możliwość współtworzenia naszego klubu i pracy na rzecz środowiska górskiego i wspinaczkowego, ponieważ każdy z członków KWW może realizować w jego ramach swoje własne inicjatywy,
20. ...i wreszcie będziesz mógł opłacić składkę przelewem, a znaczek wyślemy Ci pocztą.

Gorąco zapraszamy do naszego Klubu osoby z całej Polski. Jeśli interesujesz się górami – KW Warszawa jest miejscem, gdzie rozwiniesz skrzydła! ZAPRASZAMY!

A man with a beard, wearing a yellow climbing jacket, black pants, and a white helmet, is climbing a dark, textured rock face. He is positioned diagonally across the frame, with his left leg extended upwards and his right leg bent. A rope is visible hanging from his harness. The background is a dark, vertical rock wall with some horizontal cracks.

aim
higher

SALEWA

LISTA SKLEPÓW DOSTĘPNA NA
www.salewa.com

Jak przystąpić do Klubu:

Nie stawiamy żadnych barier formalnych - każdy może wstąpić do naszego klubu, uczestniczyć w wyprawach, wyjazdach, wycieczkach, w naszych regularnych imprezach i spotkaniach. Jako organizacja prawdziwie społeczna istniejemy dzięki aktywności i zaangażowaniu naszych członków - jeśli więc uważasz, że i Ty możesz wnieść swój wkład w nasz rozwój - serdecznie zapraszamy! Jeżeli uprawiasz sporty wspinaczkowe i możesz to udokumentować przedstawiając posiadane uprawnienia (karty, zaświadczenie o ukończonym kursie) lub wykaz przejść (może być skałkowych lub bulderowych) - to otrzymujesz status członka zwyczajnego (nie musisz nam przysłać kopii dokumentów czy wykazu, ale możesz zostać o to poproszony, jeżeli pojawią się wątpliwości). Jeżeli natomiast nie uprawiasz wspinaczki (bo np. uprawiasz trekking, turystykę górską itp.) - to możesz wstąpić do klubu otrzymując status członka uczestnika, którego jedynym ograniczeniem jest limitowana możliwość kandydowania do władz klubu.

Zapisać się do Klubu można:

Osobiście: We wtorki w godzinach ścianki klubowej (Nowowiejska 37B, godz.20-22) lub w lokalu klubowym (Noakowskiego 10/12) w czasie slajdów bądź innego spotkania (aktualne info na stronie, można też mailować klub@kw.warszawa.pl), Korespondencyjnie przez Internet: opłacając wpisowe i składkę przelewem na konto Klubu i przesyłając swoje dane do Klubu za pośrednictwem formularza zamieszczonego na stronie internetowej Klubu (www.kw.warszawa.pl). Przystępując korespondencyjnie - legitymację wysłamy Ci pocztą do domu (zdjęcie wkleisz sam).

Składki:

1. Uczący się do lat 26 – opłata roczna 40 PLN + 40 PLN wpisowe. Wstępując w drugiej połowie roku (po 1 lipca) składka 30 PLN + wpisowe 40 PLN,
2. Osoby powyżej 26 lat - opłata roczna 60 PLN + 60 PLN wpisowe. Wstępując w drugiej połowie roku (po 1 lipca) składka 40 PLN + wpisowe 60 PLN,
3. Instruktorzy – 50% zniżki w składce i wpisowym,
4. Dzieci i młodzież do 26 roku życia, jeżeli oboje rodzice są członkami KW – 50% zniżki w składce i wpisowym,
5. Dzieci i młodzież do 26 roku życia, posiadające jednego rodzica – 50% zniżki w składce i wpisowym,
6. Członkowie innych klubów zrzeszonych w PZA – bez wpisowego (po okazaniu legitymacji z opłaconymi bieżącymi składkami),
7. Emeryci i renciści bezpłatnie.

Ścianki klubowe:

Klub wynajmuje obecnie jeden obiekt – ściankę wspinaczkową w Centrum Wspinania „W Pionie” na ul. Nowowiejskiej 37b. Godziny dla klubowiczów we wtorki od 20 do 22.15 – opłata 10 zł. Członkowie Klubu mogą też nabywać taniej karty (na 10 wejść w dowolnym terminie) na ściankę w Centrum Wspinaczkowym „On Sight” na ul. Obozowej 60 – cena karnetu 120 zł.

Bulderownia klubowa:

Bulderownia znajduje się w lokalu klubowym ul. Noakowskiego 10/12.

Koszt członkostwa w sekcji – 60 zł/kwartal.

Bulderownia jest dostępna dla wszystkich członków KW Warszawa we środy i soboty w godz. 16-22 (opłata 5 PLN za wejście).

Dla osób należących do sekcji bulderowej - bulderownia jest dostępna codziennie w godz. 8-22, poza zajęciami treningowymi.

Obozy:

Co roku Klub Wysokogórski Warszawa organizuje wyjazdy dla członków klubu, mające na celu podniesienie umiejętności wspinaczkowych oraz wymianę doświadczeń pomiędzy bardziej i mniej doświadczonymi kolegami / koleżankami. Są one bardzo popularne i bierze w nich udział nawet do 60 osób, które świetnie się na nich bawią, ale także – dzięki prowadzonym wykładom - dowiadują wielu ważnych rzeczy z dziedziny topografii, bezpieczeństwa i taktyki działania w górach.

W obozie może wziąć udział każdy członek klubu bez względu na doświadczenie. Jednak z powodu ograniczonej ilości miejsc każda osoba zainteresowana wyjazdem zobowiązana jest wypełnić formularz zapisu na obóz, który jest umieszczany na stronie klubowej z odpowiednim wyprzedzeniem.

Osoby nie posiadające doświadczenia (szczególnie dotyczy to obozów zimowych) powinny rozważyć opcję wspinania pod opieką instruktora, za symboliczną opłatą ok. 350 zł/tydzień. Wszyscy uczestnicy obozu muszą także mieć świadomość, że wyjeżdżają na własną odpowiedzialność i samodzielnie podejmują swoje wspinaczkowe decyzje – klub zapewnia jedynie rezerwację miejsc, pomoc w zakresie wyboru celów, literaturę, schematy i dobrą poradę starszych kolegów, na których zawsze można liczyć.

Warunkiem uczestnictwa w obozie jest także posiadanie aktualnego ubezpieczenia, obejmującego uprawianie alpinizmu i koszty akcji ratunkowej z użyciem helikoptera. Polecanym przez nas jest ubezpieczenie związane z wykupieniem członkostwa w OeAV.

Lokal klubowy ul.Noakowskiego 10/12 Warszawa	NIP 526 16 90 727
Korespondencja ul.Jankowska 5/12 02-129 Warszawa	REGON 000987911
Sekretariat Wtorki 19.30-22.30 ul. Nowowiejska 37B	KRS 0000122453
Internet http://kw.warszawa.pl	Konto Millennium Big Bank SA 87 1160 2202 0000 0000 1850 2085 ul.Jankowska 5/12 02-129 Warszawa

BCA

bcaccess.com

Dystrybutor BCA (Back Country Access) oferuje po specjalnych cenach sprzęt lawinowy przy zamówieniach realizowanych przez klub - kontakt marekcy@orange.pl

**Kayland (MountX)**

www.mountx.pl www.kayland.com

biuro@mountx.pl

Dystrybutor obuwia Kayland - MountX oferuje po specjalnych cenach dla członków klubu wybrane modele - szczególnie w aktualnościach

**MONTANO** do 30%

www.montano.pl www.sklep.montano.pl

sklep@montano.pl

Firma MONTANO zajmuje się produkcją odzieży dla ludzi aktywnych. Tworzymy odzież dla wspinaczy, ponieważ sami z niej korzystamy.

tel. 018-2665632, 0888-862-397

Od 20 do 30% zniżki na odzież, sprzęt i akcesoria wspinaczkowe.

**YETI** do 30%

www.yeti.com.pl

sales@yeti.com.pl

Producent kurtek i spiworów puchowych.

Zakupy można realizować:

03-710 Warszawa

ul. Okrzei 18

tel. 022 670 12 53 w.14; fax. 022 618 33 01

Osobą kontaktową jest Pani Anna Bielicka

Specjalny 30% rabat dla członków KWW na bieżącą termoaaktywną Native Planet.

Na produkty YETI od ceny internetowej jest 25% rabatu, na pozostałe produkty 20% rabatu.

Warunkiem jest posiadanie ważnej legitymacji członkowskiej z opłaconymi składkami.

**MALACHOWSKI** do 20%

www.malachowski.com.pl

info@malachowski.com.pl

Pracownia Sprzętu Alpinistycznego

43-426 Dębówiec

ul. Skoczowska 49

tel.: 033-8562261

43-300 Bielsko-Biała

ul. Rynek 24

tel.: 033-8168687

Dla członków klubu 20 % zniżki na wszystkie produkty (nie dotyczy szycia na miarę).

**MARABUT** do 20%

www.namioty.pl

biuro@marabut.pl

Namioty ekspedycyjne, wyprawowe, turystyczne.

32-070 Czernichów 451

tel.: 012-2702424

Dla członków klubu 15% zniżki przy zakupie do 5 szt i 20% przy zakupie powyżej 5 szt.

**ON-TOP** do 20%

www.on-top.pl

makalu@namioty-ekspedycyjne.pl

Sprzęt wspinaczkowy i do prac na wysokości.

Namioty ekspedycyjne

Warszawa

ul. Limanowskiego 7/3

tel.: 022-842-20-81

Dla członków klubu za okazaniem legitymacji 10% zniżki na sprzęt wspinaczkowy oraz 20% na namioty ekspedycyjne Eureka!

**PLUS Mountain Bike Shop** do 20%

www.rowery.com.pl

plus@rowery.com.pl

Rowery górskie, części, akcesoria

Warszawa - Ursynów

ul. Zamiany 12

tel. 022-644-29-02

**ROSSIGNOL** do 20%

www.pmsport.pl

Dla członków klubu za okazaniem specjalnie karty rabatowej (szczegóły dotyczące zamówienia karty w biuletynie):

10% zniżki na zakupy (15% na produkty PEAK PERFORMANCE) i 20% zniżki na usługi w punktach:

ROSSIGNOL QUIKSILVER PRO SHOP-CH KLIF GDYNIA

Gdynia, al. Zwycięstwa 256, tel. 0 58 664 98 97

QUIKSILVER ROXY BOARD RIDER-GALERIA RYNEK

Kraków, ul. Rynek Główny 12, tel. 0 12 617 02 18

ROSSIGNOL QUIKSILVER PRO SHOP-CH GALERIA KAZIMIERZ

Kraków, ul. Podgórska 34, tel. 0 12 433 03 23

ROSSIGNOL QUIKSILVER PRO SHOP-CH GALERIA KRAKOWSKA

Kraków, ul. Pawia 5, tel. 0 12 628 78 49

ROSSIGNOL PRO SHOP

Kraków, Rynek Główny 13, tel. 0 12 617 02 19

ROSSIGNOL PRO SHOP-CH GALERIA MOKOTÓW

Warszawa, ul. Wołoska 12, tel. 0 22 541 34 78

ROSSIGNOL QUIKSILVER PRO SHOP-CH SĄDZYA BEST MALL

Warszawa, ul. Powiśńska 31, tel. 0 22 550 33 35

ROSSIGNOL ROXY PRO SHOP-CH ARKADIA

Warszawa, ul. Jana Pawła II 82, tel. 0 22 313 20 49

OUTLET CENTRE PIASECZNO

Warszawa, ul. Puławska 42E, tel. 0 22 750 21 79

**SUMMIT (ASOLO)** do 20%

www.summit-asolo.pl

summit.asolo@op.pl

Zniżka na sprzęt alpinistyczny, w tym obuwie marki

ASOLO

Indywidualnie zniżka 10%-20% w zależności od zamawianego towaru.

Na grupę zamówienia zniżka nawet powyżej 20% w zależności od rodzaju i ilości

Sklep - Katowice ul. Kościuszki 10

**TIYO POINT** do 20%

www.tiypoint.pl

sklep@tiypoint.pl

Internetowy sklep podręczniczy

42-200 Częstochowa

ul. Dekabrystów 82

tel.: 603.623.824

Aktualne zniżki dla członków KW: 5 - 20 % w zależności od produktu

**e-biwak.pl** do 12%

www.e-biwak.pl

sklep@e-biwak.pl

Internetowy sklep turystyczny.

tel.kom 0606-707-102

tel: +48 (055) 245-00-32; fax: +48 (055) 245-00-33

Dla członków Klubu z opłaconymi składkami 12% zniżki na produkty.

W rubryce uwagi wpisywać „KWW” celem identyfikacji

**ALPIN SPORT/HIMOUNTAIN Zakopane** do 10%

www.sfpl.pl

alpl@ealp.pl

Outdoor, ski tour, alpinizm, wspinaczka

34-500 Zakopane

ul. Krupówki 11 – alpl@ealp.pl

tel.018-2017095

34-500 Zakopane

ul. Krupówki 28 – alpl6@ealp.pl

Sklepy czynne: pon. – czw. 11-18, pt. i sob. 11-19 niedz., 11-16

**ALPINSKLEP** do 10%

www.alpinsklep.pl

bomar@alpinsklep.pl

Turystyka, wspinaczka, trekking

Sklep firmowy HIMountain

02-591 Warszawa

ul. Batorego 39,

Metro Pole Mokotowskie

tel.: 022-825-81-61, 022-825-98-50, 022-825-48-95

Artykuły: Karrimor, buty Aku, Berghaus, The North Face



AZYMUT do 10%
www.sklepazymut.pl
biuro@sklepazymut.pl
Sprzęt wspinaczkowy, turystyczny, rowery,
akcesoria rowerowe, narty, snowboardy.
Przemyśl
ul. 3-go Maja 12
tel.: 016-679-02-10
Ustrzyki Dolne
ul. 29-go listopada 26
tel.: 013-461-34-74
Jarosław
Pl. Mickiewicza 11
tel.: 016-621-67-68



BERGSON do 10%
www.bergson.pl
biuro@rgsport.pl
Warszawa
Galeria Ursynów ul. KEN 36 lok 33
tel.: 022-649-13-54



BEZDROŻA do 10%
www.bezdroza.sklep.pl
sklep@bezdroza.sklep.pl
Profesjonalny sklep turystyczny.
00-637 Warszawa
ul. Armii Ludowej 17
tel.: (22) 825-51-87
Dla członków KW niższa na towary nie objęte promocją.



CAMPUS/ARCO SPORT do 10%
Warszawa
C.H. Auchan
ul. Puławska 46
tel.: 022-716-95-25
Warszawa
C.H. Targówek
ul. Głębocka 15
tel.: 022-313-12-03



CAMPUS/CERRO TORRE SPORT do 10%
www.cerrotorre.pl
sieć sklepów Jacka Fludera - CERRO TORRE SPORT

Kraków
C.H. M1
Aleje Pokoju 67
tel.: 012-2965900
Kraków
ul. Sienna 14
tel.: 012-4296812
Wrocław
C.H. Auchan
ul. Francuska 6
tel.: 071-7806647
Katowice
C.H. Supersam
ul. Piotra Skargi 6
tel.: 032-7810377
Zabrze
C.H. M1
ul. Piut.R. Szkubacza 1
tel.: 032-7770410

CLIMBING-SHOP.COM do 10%
www.climbing-shop.com
info@climbing-shop.com
Wspinaczkowo - turystyczny sklep internetowy
tel/fax.: 032-223-26-86



HIMOUNTAIN do 10%
www.himountain.pl
Warszawa
C. H. Reduta
Al. Jerozolimskie 148



Warszawa
ul. Królewską 2 (wejście od Krakowskiego Przedmieścia)
Warszawa
C.H. Arkadia
Al. Jana Pawła II 82
Warszawa-Janki
C.H. Geant
ul. Mszczonowska 3
10% niżki dla KW Warszawa

MULTAN EXTREME do 10%
www.multanex.com.pl
mail@multanex.com.pl
Warszawa
Al. Jana Pawła II 32
tel.: 022-620-36-76



ROBERT'S OUTDOOR EQUIPMENT do 10%
www.roberts.pl
roberts@roberts.pl
Specjalizuje się w produkcji odzieży i śpiworów
ocieplanych puchem
Gdynia
ul. Nowodworcowa 15
tel.: 058 6294298



SHERPA do 10%
www.sherpa.pl
sklep@sherpa.pl
Sklep górski
00-672 Warszawa
ul. Piękna 68
tel.: 022-621-15-25
Dla członków KW z ważną legitymacją i opłaconą składką 10% niżki na wszelki
asortyment nie objęty promocją.



SKLEP PODRÓŻNIKA do 10%
www.sp.com.pl
sklep@traveler.com.pl
Sprzęt wspinaczkowy, turystyczny, narty, przewodniki,
mapy i literatura.
Warszawa
ul. Grójecka 46/50
tel. 022-668-66-08
Warszawa - K1
ul. Kaliska 8/10
tel. 022-822-64-81
Warszawa - K2
ul. Kaliska 8/10
tel. 022-822-54-87



EXTREME SPORT - Zakopane do 7%
www.extreme.z-ne.pl
604451660@erant.pl
Zakopane
ul. Krupówki 36
tel.: 018-2062999



POLAR SPORT do 7%
www.polarsport.pl
Sklep górski POLAR SPORT oferuje duży wy-
bór odzieży i sprzętu do turystyki wspinaczkowej, alpinizmu, skitingu.
Najlepsze marki, konkurencyjne ceny, częste promocje.
Zapraszamy na www.polarsport.pl i do naszego sklepu przy ul. Siennej 15
w Krakowie.

www.polarsport.pl

Wszystkie niżki za okazaniem legitymacji
z opłaconymi składkami za bieżący rok.

Wstęp do KW Warszawa
Zapisz się przez internet

www.kw.warszawa.pl

